Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Cena 25 zł

W NUMERZE

JÓZEF KOWALSKI — Chłopski czy nie chłopski
ZBIGNIEW GOPIŃSKI — Festiwal. TADEUSZ SZEWERA Cztery reformy.
WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK — Wiersze
ANIELA DASZEWSKA — Młodzież w Boratynie

Wieś

tygodnik społeczno-literacki

Rok VII

Warszawa, dn. 2 kwietnia 1950 r.

Nr 13 (244)

Biblioteka Uniwersytetu Gdańskiego

CIV 9037

ADAM POLEWKA

DOBRA MARTWEJ RĘKI

Jeżeli nie najjaskrawszym, to w każdym razie jednym z najbardziej jaskrawych przykładów anachronizmu historycznego, jakim są obszarniczo-feudalne przeżytki kościelne w Polsce Ludowej, są tak zwane „dobra martwej ręki" w województwie krakowskim. „Dobra martwej ręki", jak wiadomo, są to majątki, które duchowieństwo nabywało przeważnie na mocy testamentów, sporządzanych na łożu śmierci, przeto i własność tę nazywano na Zachodzie „Proprieté de la main-morte", „Besitz der todten Hand" itd., a u nas dokładnie tak samo: wiaśnie „dobrami martwej ręki". Te transakcje między umierającymi wiernymi, a duchowieństwem były, jak pisze znany historyk Tadeusz Korzon, „czynione gwoli odpuszczenia grzechów lub stokrotnej nagrody w niebiosach, co uważano za dobry interes handlowy, określając testatorów na rzecz kościoła jako mądrych kupców, którzy chcą kupić na ziemi to, co mogą posiadać w niebie (tanquam prudentes negociatores marcari volentes in terra, non quod in Coelo poscideant). Ten dobry interes (używam określenia Tadeusza Korzona) nie obywał się bez specjalnie opracowanych metod zachęcania wiernych do zapisów testamentowych. Metody te rozsławiła odnośnie zakonu Jezuitów słynna książka Zahorowskiego, „Monitor sancta Socielaus Jesu" wydana na początku XVIII wieku. W dziele swym pt. „Stan oświecenia w Polsce w XVIII-ym wieku" ksiądz Hugo Kołłątaj, jeden z twórców Konstytucji 3-Majowej, podaje zabawny fakt ilustrujący przebiegłe metody pozyskiwania testatorów przez kler, zwłaszcza klasztorny. Naturalnie, celowali w tym jezuici. Oni to właśnie zastawiali sieci na bogatą i shisteryzowaną bigotkę i wdowę, kasztelanową Firlejową z Tęczynka pod Krakowem. Objąwszy nad nią duchową opiekę, rządzili się w jej dobrach jak szare gęsi, a w zamian za uległość i życzliwość w stosunku do zakonu jezuitów, przyobiecali jej ułatwić bezpośredni kontakt ze świętym Alojzym i świętym Stanisławem Kostką. Obaj wymienieni święci zjawili się naiwnej niewieście w ziemskiej postaci i początkowo bardzo niebiańsko oficjalni z czasem zaczęli zachowywać się familiarnie, że nie tylko zasiadali do sutej uczty z bogatą wdową, ale nawet łaskawie z nią przy dźwięku muzyki, oczywiście niebiańskiej, pląsali do późnej nocy. Na nieszczęście mieli jezuici groźnego konkurenta w postaci zakonu ojców karmelitów bosych, zamieszkałych w pobliskiej eremie. Aby jezuitom popsuć szyki, jeden z braciszków zakonu karmelitów wszedł w porozumienie ze służbą kasztelanowej i w umówiony wieczór zjawił się w zamkowych komnatach przebrany za świętego Piotra, odbierając od służby i kasztelanowej hołd, należny niebieskiemu klucznikowi. Wszedłszy na salę biesiadną, przykładnie obił kluczami obu konkurencyjnych świętych i zdemaskował oszustów. Wdzięczna kasztelanowa miała majątek zapisać na fundację klasztoru ojców karmelitów w Czerny koło Krzeszowic. Tak twierdził ks. Hugo Kołłątaj, a ja dodam „si non e vero e ben trovato".

Ilościowe i jakościowe przeżytki feudalizmu w województwie krakowskim mają bogate i charakterystyczne korzenie historyczne. Biskupstwo krakowskie, mające dziś nazwę Kurii Książęco - metropolitalnej, rozciągało się za czasów Polski przedrozbiorowej 50 mil wszerz i wzdłuż. Obejmowało ono prawie całą Małopolskę ówczesną tj. województwa: krakowskie, sandomierskie i lubelskie, znaczną część Śląska, księstwa Oświęcim, Zator i Siewierz, Spiż i państwo Pszczyńskie. Należy dodać, że ówczesne województwo krakowskie sięgało w głąb Kielecczyzny. Dobra biskupie obejmowały dwanaście miast i dwieście kilkadziesiąt wsi. Z dóbr królewskich i prywatnych przypadały dziesięciny na rzecz biskupa oraz dochody z obfitych kopalni żelaza, miedzi i ołowiu na obszarze dóbr własnych. Biskupi krakowscy byli takimi bogaczami, że na ogół bardzo niechętnie przechodzili na stanowisko arcybiskupa gnieźnieńskiego, będącego zarazem prymasem, bo nie było tam równego majątku. Dekretem papieskim mieli biskupi krakowscy zawarowane pierwsze miejsce w senacie obok króla, tuż za prymasem. W r. 1443 Zbigniew Oleśnicki nabył księstwo Siewierskie i odtąd aż do trzeciego rozbioru, do roku 1795 biskupi krakowscy nosili tytuł książąt Siewierskich.

Wzrost majątków kościelnych, a szczególnie na obszarze przedrozbiorowego biskupstwa krakowskiego, nieco tylko hamowały ustawy sejmowe, postanawiające już od roku 1635, że dobra ziemskie nie mogą przechodzić z rąk szlachty ani w formie darowizny, ani w formie sprzedaży pod karą nieważności takiej transakcji. Najostrzejsze z tych zakazów z lat 1768 i 1776 działały dość słabo w okresie powszechnej już anarchii w Polsce. Sejm Czteroletni ustawą z dnia 27 lipca 1789 roku uchwalił zajęcie dóbr biskupstwa krakowskiego na fundusz wojskowy w celu utworzenia 100-tysięcznej armii. Biskupowi krakowskiemu wydzielono część dochodów w kwocie 100 tysięcy złotych polskich rocznie, a skarbowi państwa przypadł roczny dochód w wysokości około 600 tysięcy złotych. Ta ustawa sejmowa działała podobnie (a raczej miała działać) w stosunku do innych diecezji, dopiero po śmierci każdego biskupa. Charakterystycznym jest fakt, że Konfederacja Targowicka nakazała zwrot zajętych dóbr biskupowi krakowskiemu.

Trzeci rozbiór Polski pozbawił biskupstwo krakowskie tytułu książęcego na sto lat następnych, bo księstwo Siewierskie, po ustaleniu granic zaborczych zostało włączone do diecezji wrocławskiej. Po stu latach, w r. 1889, dnia 21 stycznia cesarz austriacki Franciszek Józef I przywraca tytuł książęcy biskupowi krakowskiemu specjalnym dekretem, podwyższa dotację i odtąd istnieje już właściwie C.K. Książęca Kuria Metropolitalna, do dziś dnia pysznica się feudalnym i zaborczym tytułem książęcym.

Do tych wspominków historycznych wypada dołączyć jeden jeszcze fakt. Oto pod opiekuńczymi skrzydłami uksiążęconej przez zaborcę Kurii Metropolitalnej krakowskiej rozebrano, zburzono lub przebudowano za czasów austriackich dla świeckich celów 20-cia zabytkowych kościołów krakowskich. Powstały z nich: magazyny, sąd karny, więzienia, teatr, sale balowe, domy czynszowe itp. A działo się to w ultrakatolickim państwie „bojaźni bożej" pod okiem krakowskich książąt Kościoła i apostolskiego cesarza. Watykan nie krzyczał wtedy, że niszczy się miejsca kultu religijnego i uciska religię.

Chociaż w okresie porozbiorowym latyfundia biskupstwa krakowskiego niepomiernie schudły w porównaniu z czasami Polski szlacheckiej, niemniej jednak żywymi pozostały nadal tradycje sobiepaństwa biskupów krakowskich, czego wyrazem było i jest występowanie w roli udzielnych książąt kardynałów: dawniej Puzyny, a dziś Sapiehy. Znane z prasy odwołanie okrętu amerykańskiego z lekarstwami i darami dla podopiecznych „Caritasu" — to tradycyjne jaśniepańskie i warcholskie „veto" ostatniego z feudałów, pozującego na królewiątko Rzeczypospolitej.

Pierwszą niepodległość Polski powitała książęco-metropolitalna kuria krakowska już w r. 1919 wyzyskiem i uciskiem chłopa małorolnego i bezrolnego, dzierżawiącego grunta biskupie. Pisze o tym „Naprzód" z dnia 17 stycznia 1919 r. „W powiecie podgórskim jest około 10 gmin kameralnych, będących w używaniu każdorazowego biskupa krakowskiego. Naturalnie wszelkie dochody z tych dóbr idą dla biskupa. Dzierżawcami gruntów biskupich są bezrolni lub małorolni chłopi, największa biedota dorabiająca na nędzne życie w fabrykach w Borku Fałęckim. I tym ludziom wypowiada zarząd dóbr książęco-biskupich dzierżawy, aby im, względnie innym biedakom na nowo wydzierżawić grunta, podnosząc czynsze o 300 do 700 procent. Okoliczni obszarnicy podnieśli równocześnie czynsze tylko o 10 procent.

Stosunki te są dobrze znane księdzu biskupowi Sapiesze, bo były u niego deputacje pokrzywdzonych, lecz ich skargi pozostały bez echa. Leży przed nami spis 39 dzierżawców gruntów z Opatkowic, którym zarząd przez swego pełnomocnika Kwiecińskiego, mającego od księdza biskupa nieograniczone pełnomocnictwo', w lichwiarski sposób popodnosił czynsze dzierżawne. Wszechwładnymi panami w zarządzie są: ów Kwieciński i jego kompanion Pietrzak, któremu Kwieciński wydzierżawia większe kompleksy gruntów, a ten je znów chłopom poddzierżawia. Czyli pasek lichwiarski w najobrzydliwszy sposób, za który całe towarzystwo zacne powinno siedzieć w kryminale.

Tak oceniała opinia publiczna książęco-biskupią gospodarkę w dobrach podkrakowskich już 30 lat temu. Tradycje tego ucisku i wyzysku przetrwały do dziś dnia. W parze z tymi tradycjami szły antyrobotnicze wystąpienia kardynała Sapiehy, szczególnie w 1923 i 1926 r., gdy na ulicach Krakowa lała się krew robotnicza w walce z wyzyskiem kapitalistycznym.

Dobra „martwej ręki" obejmują w przeludnionym i biednym woj. krakowskim około 23 tysiące ha. Przejęciu przez Państwo podlegać będzie ponad 20.000 ha dóbr biskupich, klasztornych i innych. Od czasu odzyskania niepodległości rozsprzedano pokątnie około 2.000 ha ziemi za sumę ca 300.000.000 zł. Pieniądze te nie poszły ani na odbudowę czy odnowienie zabytkowych budowli kościelnych, ani też na cele charytatywne, ale zostały po prostu skonsumowane przez reakcyjny kler ku chwale doczesnego żywota. Równocześnie w ciągu tych lat samo tylko Ministerstwo Kultury i Sztuki wydatkowało na odbudowę i odnowienie kościołów i zabytkowych budowli kościelnych w woj. krakowskim kwotę około 30 mil. zł. Sam ołtarz Wita Stwosza, który wymagał pilnej i starannej restauracji, pochłonął sumę 12.908.000 zł. Na odnowienie kościoła św. Andrzeja dało Ministerstwo Kultury i Sztuki kwotę 3 i pół miliona zł. Szły subwencje na odnowienie Katedry na Wawelu, kaplicy Batorego, kaplicy Świętokrzyskiej, chociaż Kapituła katedralna posiada majątek ziemski ok. 900 ha. Jednym z największych skandali była sprawa słynnych witraży z kościoła Dominikańskiego, witraży, które stanowiły zabytek z początku XV w. Witraże te od 1914 roku leżały w pakach nieruszone. Zajął się nimi Zarząd Miejski Krakowa i obecnie te witraże są restaurowane i wrócą do klasztoru na skutek troski właśnie Państwa Ludowego.

Największe obszary ziemi posiadają jeszcze do dziś dnia na terenie województwa krakowskiego najbardziej arystokratyczne zakony.

✤

W świetle powyżej podanych faktów i obrazów, jakże słuszną okazuje się projektowana ustawa sejmowa o przejęciu przez Państwo dóbr martwej ręki, o poręczeniu proboszczom posiadanych gospodarstw rolnych i utworzeniu funduszu kościelnego. Likwiduje ona przeżytki feudalizmu, przeżytki gospodarcze, społeczne i ideologiczne. Wyzwala wyzyskiwanego przez kościelnych feudałów chłopa i robotnika rolnego. Zapewnia opiekę zasłużonym dla społeczeństwa duchownym. Pozwala Państwu jeszcze większą troską otoczyć zabytki religijnej sztuki, a wreszcie usuwa urągającą dzisiejszym czasom zacofaną, niechlujną, rabunkową, a przez to zdecydowanie antyspołeczną gospodarkę w dobrach „martwej ręki".

Miejscem dla „martwych rąk", mózgów muzealnych i przeżytków feudalizmu jest lamus historii! Czasy dzisiejsze — to czasy żywych i planowo pracujących rąk i mózgów, budujących pełną sprawiedliwość społeczną.

Adam Polewka.

CZESŁAW WYCECH

ZNIESIENIE OBSZARNICTWA KOŚCIELNEGO*)

Na projekt ustawy o przejęciu przez Państwo dóbr martwej ręki, patrzymy z dwu punktów widzenia: społeczno - gospodarczego i politycznego.

Z punktu widzenia społeczno - gospodarczego nie ma żadnych racji odmiennego traktowania folwarków kościelno - zakonnych aniżeli obszarniczych, wszak one stosowały te same formy gospodarowania oraz uprawiały te same formy wyzysku mas chłopskich. Co więcej z punktu widzenia rozwojowo - historycznego nie kto inny jak kościół przyniósł nowe formy gospodarowania, przyniósł do Polski i ustrój feudalny i formy feudalnego wyzysku mas kmiecio-chłopskich. Przed powstaniem folwarku pańszczyźnianego panowie duchowni byli największymi obszarnikami, a zatem byli największymi wyzyskiwaczami mas ludowych. Biskup płocki w 1203 roku posiadał 230 wsi, gnieźnieński posiadał w 1374 roku 11 miast i 330 wsi, biskup krakowski posiadał w XV wieku 11 miast, 225 wsi całych i 17 wsi częściowo.

Rozwój ustroju poddańczo - pańszczyźnianego pozbawił chłopów nie tylko praw obywatelskich, lecz praw własności do ziemi. Panowie świeccy i duchowni gnębili masy ludowe, odbierali im ziemię, stosowali różne formy wyzysku, odbierali im prawa ludzkie, prawa wolnościowe. W końcu XVIII wieku, w dobie upadku systemu poddańczo - pańszczyźnianego, kościół posiadał w swoim ręku według Korzona prawie piątą część ziemi (17 proc.), gdy do szlachty należało 64 proc., do królewszczyzny 19 proc. A przecież obok tego wyzysku była jego inna i niemniej uciążliwa forma — dziesięcina, która wyciskała pot i łzy z mas chłopskich.

Nic w tym dziwnego, że chłopska walka wyzwoleńcza w ciągu wieków była skierowana zarówno przeciwko wyzyskowi panów świeckich jak i duchownych, a w okresie piastowskim głównie przeciwko wyzyskowi w folwarkach zakonno - kościelnych.

Jedną szli drogą przez tysiąc lat trwania państwowości polskiej w wyzyskiwaniu mas chłopskich zarówno pan świecki i duchowny i jeden powinni podzielić los. Wyzysk w każdej postaci musi być i będzie zlikwidowany, bo w majestacie rewolucyjnego prawa mas ludowych rodzi się nowy ustrój pełnej sprawiedliwości społecznej. Tak na tę sprawę patrzy Klub Stronnictwa, które nawiązuje w swej ideowej postawie do męczeńskiej wiekowej walki mas ludowych z wszelką krzywdą i wyzyskiem.

W uchwalonej ustawie widzimy zamknięcie długiego okresu naszych krzywd, poniżenia, okresu hamowania mas chłopskich w ich rozwoju fizycznym i duchowym.

Omawiana ustawa ma swoją drugą stronę — polityczną.

Rządzi nie tylko ten, kto posiada władzę polityczną, ale i ten, a przede wszystkim ten, kto posiada dobra ekonomiczne, ziemie, kopalnie, fabryki, pieniądze, handel, środki komunikacji. Już czerwony kanonik, ksiądz Jezierski w 1790 roku w swym „katechiźmie o tajemnicach rządu polskiego" (szlacheckiego) pisał: „Kto rządzi Rzeczpospolitą? (szlachecką). Przywileje i nierząd. Kto trzyma władzę prawodawczą i wykonawczą Rzeczypospolitej? Król, senat i rycerstwo, trzy stany a jeden szlachcic. Król, wyżsi duchowni i szlachta oni posiadali ziemię i oni rządzili".

Tak o sarmackim prawie, o władzy tych, co posiadają dobra mówił już czerwony kanonik ks. Franciszek Salezy Jezierski, jeden z wodzów „Kuźnicy Kołłątajowskiej".

Ruch ludowy, poczynając od spisków Gorzkowskiego i Ściegiennego, poprzez Polski Związek Ludowy, Wyzwolenie i Niezależną Partię Chłopską aż do dzisiejszego Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, widział w pańskich dworach i majątkach kościelnych ośrodki politycznej reakcji.

Wyższy kler mając podbudowę ekonomiczną w dobrach martwej ręki i wyzyskując dla celów politycznych zasady religijne, prowadził walkę z ruchem ludowym i robotniczym.

Czy potrzeba Wysokiej Izbie przypominać listy pasterskie przeciw rusze chowi ludowemu biskupów *Łoboza*, Wałęgi, Pelczara, Puzyny, Teodorowicza, Łozińskiego? Czy potrzeba omawiać zarządzenie kanoniczne biskupa Łukomskiego z Łomży z dnia 14 marca 1928 r., które zalecało proboszczom odmawiania sakramentów świętych wiernym, należącym do „partii socjalistów wyzwoleńców, komunistów lub stronnictw chłopskich".

Znaczna część niższego kleru wikariusze i proboszczowie pod naciskiem wyższej hierarchii kościelnej prowadziła walkę z ruchem ludowym. Ruch ludowy nie walczył i nie walczy ani z religią ani z kościołem, a mimo to z ambon i kazalnic przez dziesiątki lat padały gromy na ruch ludowy i jego działaczy.

Władze Polski Ludowej dały kościołowi całkowitą swobodę w dziedzinie działalności religijnej. W szkołach prowadzona jest nauka religii. Ludowe państwo łoży duże kwoty na odbudowę zniszczonych świątyń i daje znaczne sumy na cele akcji charytatywnej czynników kościelnych.

Rząd Polski Ludowej dążył i dąży do poprawnego ułożenia stosunków między kościołem i państwem. Tymczasem część wyższej hierarchii duchownej już od dawna powiązana z reakcyjnymi ośrodkami politycznymi kraju prowadzi walkę z władzami Polski Ludowej i podejmowanymi reformami społecznymi. Polityka Polski Ludowej idzie po linii likwidowania krzywdy i wyzysku oraz budowaniu ustroju pełnej sprawiedliwości społecznej. Wydawałoby się, że tego rodzaju polityka winna znaleźć poparcie ze strony wyższej hierarchii kościelnej, wszak i ona oficjalnie głosi służbę bliźniemu i realizowanie sprawiedliwości społecznej. Tymczasem dzieje się inaczej. Wielowiekowe powiązania polityczne wyższej hierarchii duchownej z panami feudalnymi, potem obszarnikami i kapitalistami zaciążyły na stosunku wielu dygnitarzy kościelnych do kierunku politycznego i władz Polski Ludowej i postawiły ją w pozycji antyludowej. Pozostając w jawnym lub ukrytym przymierzu z reakcją podjęli otwartą lub zamaskowaną walkę polityczną z państwem ludowym. Wzorem dawnych metod postępowania nadużywa się w tej walce listów pasterskich, ambon, spowiedzi, organizacji religijnych czy charytatywnych, jak to miało miejsce z „Caritasem".

Szereg procesów sądowych wykazało, że wielu duchownych czynnie współdziałało z podziemnymi, reakcyjnymi elementami w walce z władzami Polski Ludowej. Wielu księży z band leśnych i organizacji podziemnych zostało skazanych na kary długoletniego więzienia. Wyższe władze kościelne zasłaniając się pozorami apolityczności nie potępiły zbrodniczej działalności tych księży. Wielu wysokich dygnitarzy duchownych, którzy już przedtem byli znani z zaciekłej walki z ruchem ludowym i robotniczym, dziś podjęło walkę z Polską Ludową, wywierając w tym kierunku nacisk na niższe hierarchicznie duchowieństwo. Tę walkę z Polską Ludową ubierają w szaty obrony rzekomo zagrożonej religii. Starają się wiernym przedstawić tę walkę jako walkę nie polityczną, lecz religijną. Jest to próba rozpętania walk na tle religijnym, gdy sami mają na oku cele wyraźnie polityczne. Już przed wojną mieliśmy objawy tego zjawiska, kiedy to pod hasłem rzekomej neutralności prowadzono walkę polityczną.

Wyższa hierarchia duchowna zasłaniała się neutralnością, gdy po kościołach odprawiano nabożeństwa za mordercę prezydenta Narutowicza. Wyższa hierarchia duchowna milczała, gdy na polach Łapanowa i Kasiny chłopi dziesiątkami padali w strajkach chłopskich.

Dziś znowu wyższa hierarchia kościelna zasłania się neutralnością polityczną i nie zabiera głosu, zachowuje jakże wymowne milczenie wobec udziału wielu duchownych w podziemnej akcji przeciwko Polsce Ludowej.

Nie potrzeba uzasadniać, że pod maską tego milczenia i rzekomej neutralnej postawy kryje się czystej wody polityka.

W okresie 150 lat niewoli wyższa hierarchia kościelna nie zasłaniała się „neutralnością" i uznawała rządy zaborcze. Co więcej część wyższej hierarchii kościelnej potępiała powstania narodowe i udział w nich księży patriotów. Wyższa hierarchia kościelna w Kielcach w 1845 roku nie zasłaniała się neutralnością i na żądanie władz carskich pozbawiła godności kapłańskiej wodza chłopskiej rewolucji i księdza patriotę Piotra Ściegiennego.

Dziś w imię rzekomej neutralności hierarchia kościelna odmawia ułożenia stosunków między ludowym państwem a kościołem. Wyższa hierarchia kościelna obciążona tradycyjną współpracą z klasami posiadającymi, nie chce zrozumieć ducha nowych idących czasów. W istocie swej solidaryzuje się z gasnącym światem kapitalistycznym. Niższe duchowieństwo zachęca i skłania do akcji w obronie resztek kapitalizmu.

Sprawa jest jasna.

Część wyższej hierarchii kościelnej prowadzi lub toleruje polityczną działalność przeciw ludowemu państwu. W prowadzeniu tej polityki posiada bazę materialną w majątkach martwej ręki. Co więcej. Dobra materialne stały się narzędziem w ręku części wyższej hierarchii kościelnej dla szykanowania księży patriotów, wyrosłych z ludu i z ludem się solidaryzujących w jego drodze do budowy wyższych form gospodarowania w ustroju pełnej sprawiedliwości społecznej. Dawały one podstawy materialne do prowadzenia antyludowej polityki.

Władze Polski Ludowej nie mogły dłużej tolerować wytworzonego stanu rzeczy. Projekt ustawy o dobrach martwej ręki i utworzeniu Funduszu Kościelnego przekreśli tego rodzaju szkodliwe praktyki.

Ustawa słusznie rozróżnia, podobnie, jak ustawa o reformie rolnej z 6 września 1944 roku, dobra *mniejszej* własności, czyli *proboszczowskie* i dobra *wielkiej* własności, czyli najczęściej *biskupie i zakonne*. Inny charakter społeczno-gospodarczy mają grunty proboszczowskie i inne jest zachowanie wobec Polski Ludowej niższego kleru, zrośniętego z ludem. I dlatego inne potraktowanie gruntów proboszczowskich w omawianej ustawie jest słuszne zarówno z punktu widzenia społeczno-gospodarczego, jak i politycznego.

Za likwidacją wielkiej własności ziemskiej kościelnej i zakonnej oraz jej uspołecznieniem przemawiają zatem — jak wykazaliśmy — względy natury społecznej, gospodarczej i wyznaniowo-religijnej.

Uspołecznienie wielkich dóbr „martwej ręki" zlikwiduje bazę ekonomiczną dla działalności reakcyjnej części kleru i zakonów. Znikną pozostałości feudalnego wyzysku zarówno robotników rolnych, jak i małorolnych chłopów, którym po wysokich cenach wydzierżawiano ziemię. Na tych folwarkach biskupich i zakonnych powstaną, podobnie jak w państwowych majątkach ziemskich, *społeczne, wyższe* formy gospodarowania.

Utworzenie Funduszu Kościelnego, opartego o uspołecznienie majątków z jednej strony, a dotacje państwowe z drugiej strony, będzie mieć doniosłe znaczenie dla życia parafialnego jak i duchowieństwa. Poprzez Fundusz Kościelny prowadzona będzie akcja odbudowy zniszczonych świątyń, będą subwencjonowane słabsze gospodarczo parafie, a duchowieństwo znajdzie w nim dla siebie pomoc w dziedzinie opiekuńczej i zdrowotnej. Na tle rozwiązywania konkretnych bolączek z życia parafialnego i duchowieństwa w ramach Funduszu Kościelnego realizować się będzie współpraca między Ludowym Państwem, a kościołem. Poprzez stale poszerzaną i wzmacnianą współpracę na tym odcinku Polska Ludowa będzie zmierzała celowo i konsekwentnie do ułożenia stosunków między państwem a kościołem w myśl deklaracji rządowej z dnia 14 marca 1949 r.

Czesław Wycech.

*) Fragment przemówienia na Sejmie (20 marca 1950 r.).

Dm 57/02

Z MATERIAŁÓW NA

JÓZEF KOWALSKI

CHŁOPSKI CZY NIE CHŁOPSKI

PIERWSZE wrocławskie eliminacje wojewódzkie artystycznych zespołów świetlicowych ZSCh na pieśń i teatralną sztukę radziecką w Miesiącu Pogłębienia Przyjaźni Polsko - Radzieckiej ciągnęły się od rana do późnej nocy. Zakwalifikowanie dwudziestu zespołów według wielostronnych warunków regulaminu konkursowego, nie było rzeczą łatwą. Chodziło przecież o to, by eliminacje wypadły trafnie, by wybrane zespoły godnie zaprezentowały się w Warszawie i w finale ogólnokrajowego konkursu nie znalazły się na ostatnim miejscu.

Dyskretnie obserwowałem pracę członków jury i przysłuchiwałem się ich debatom, nasyconym fachową terminologią, a mój lokalny, dolnośląski patriotyzm wciąż trzymał mnie w pobliżu sędziowskiej trybuny, bowiem chciałem upewnić się co do naszych szans.

Okazało się, że trafnie wyeliminowano. Do Warszawy pojechały cztery dolnośląskie zespoły, wszystkie cztery zostały nagrodzone i to nie byle jak, bo dwa z nich uznano za najlepsze w Polsce. Nasz czterogłosowy chór z Bąkowic powiatu Namysłów nie zawiódł pokładanych w nim nadziei. Kiedy został wyznaczony do centralnych eliminacji, niektórzy jego członkowie zatroskali się. Jeden z nich, baryton, powiada do mnie:

— Panie! Jakże ja mogę odjechać z domu na cały tydzień? Żona sobie nie poradzi w gospodarstwie! Dwie krowy, koń, świnie zakontraktowane, a dzieci jeszcze małe, nie pomogą! Co tu robić?

— Nie martwcie się; sprawa społeczna. Sąsiedzi pomogą.

Na wzmiankę o sąsiadach uśmiechnął się i po chwili zaczął podśpiewywać refren z ukraińskiej ludowej piosenki, nie powracając już do tematu. Wtedy pomyślałem sobie, że gromada Bąkowice dobrze układa swoje społeczne życie.

W stojącej obok grupce dziewcząt, jakaś niebieskooka bąkowiczanka biadoliła, że matka pewnie nie pozwoli jej jechać na tak długi czas do Warszawy, ale koleżanki uspokoiły pesymistkę, argumentując:

— Dlaczego ma nie pozwolić? Przecież wszystkie razem jedziemy, a nie pojedyńczo! Janek jedzie z nami. Nie bój się, Marysiu! On cię upilnuje! Nigdzie mu się już nie zapodziejesz!

Swój dowcip pokryły chóralnym śmiechem. Marysia zapłoniła się, a Janek podszedł do niej, objął ją ramieniem i głośno, by wszyscy słyszeli, powiedział:

— Uprosimy matkę i zezwoli. Pojedziemy, dziewczyno! Zaśpiewamy sobie w stolicy, a po powrocie te śmieszki zaśpiewają nam na weselisku.

Niestety, Janek będzie musiał termin wesela przesunąć, bo uzyskanie przez zespół pierwszego miejsca w kraju, pociąga za sobą nieuniknione konsekwencje. Chór z Bąkowic zasłynął. Teraz jest rozrywany, jeździ, występuje, zbiera oklaski i podziękowania, pięknie i korzystnie dla sojuszu robotniczo-chłopskiego uczestniczy w wymianie kulturalnej między wsią a miastem, przez swój doborowy repertuar pieśni rosyjskich i ukraińskich, pogłębia przyjaźń polsko-radziecką.

Chłopski zespół chóralny z Bąkowic, to chluba polskiej wsi. Ma on chórmistrza małego wzrostem, lecz dzielnego i niezmordowanego w pracy, obywatela Zmorę, któremu zawdzięcza swoje sukcesy.

Podobnie jak o bąkowickim należy mówić o świetlicowym zespole tanecznym z gromady Stobrawa, w powiecie Brzeg. Na eliminacjach krajowych zajął on również pierwsze miejsce i to za „Kołomyjkę", tańczoną z kapitalną werwą, przy wzorowym zachowaniu rytmu i wysokiej kulturze w wykonaniu całości tańca. Doskonały zespół. Typowo chłopski tak, jak jego współpartner z Bąkowic.

Ale nie o te zespoły chodzi mi w danym wypadku. O nich już sporo pisano, należało im się to, natomiast ja postanowiłem napisać o jednym z zespołów nienagrodzonych, jednak zasługujących na uznanie. Jest nim zespół świetlicowy z gromady Ludwikowice Kłodzkie. Doszedł on do eliminacji wojewódzkich i tutaj zarzucono mu, że zaprodukował marsza sportowego w strojach tenisowych i pieśń marynarzy radzieckich w strojach marynarskich, tracąc przez to swój ludowy charakter. Zdziwiony tym zarzutem, zapytałem jednego z członków jury, co mają zrobić chłopi z kortem tenisowym, jeśli on, tak nieodpowiednio dla ustalonych poglądów, znalazł się w ich wsi? Czy mają go zaorać, lub postawić na nim „sławojki" jedynie w celu utrzymania swojszczyzny? Jak długo jeszcze nie będzie wypadało chłopom uprawiać białego sportu? Czy chłopi nie służą w marynarce i nie śpiewają marynarskich pieśni? Czyż mamy dzielić kulturę na wiejską i miejską i wyróżniać na wsi tylko to, co tradycyjnie ludowe, nie uznając wiejskiego udziału w ogólnym postępie?...

Przyznaję, że w tym miejscu byłem nieco zirytowany. Kiedy, na dobitkę, zarzucono zdyskwalifikowanemu już zespołowi, że jego produkcje wyglądają zbyt „rewiowo", wtedy umilkłem i począłem zastanawiać się, czy rzeczywiście chłopi z Ludwikowic nie popełnili błędu, zbyt szybko emancypując się, a także, czy poszczególni członkowie jury są przygotowani do śledzenia i oceny zdobywczego chłopskiego kroku. „Rewiowość" ludwikowskiego zespołu nie odpowiadała wymagającym sędziom, natomiast zachwycali się oni rewią, tak jest, niczym innym, jak rewią barwnych ludowych strojów, przygotowanych w szatni teatralnej, a pokazywanych na scenie w różnego rodzaju tanecznych korowodach, zaakceptowali inscenizację chłopskiego zespołu, daną w robotniczych, fabrycznych kombinezonach, z rekwizytami takimi, jak obrabiarka, czy szlifierka, nie zauważywszy swych odchyleń od realizmu, czy od tej niby zasady.

A tymczasem ludwikowicki zespół pokazał dobrą klasę. Był zgrany. Głosy, dykcja, ruch, tempo, partie solowe opracowane, reżyserię miał bez zarzutu i miał jeszcze to, czego brakowało innym zespołom, mianowicie radosny uśmiech, którym zarażał widownię. Widownia reagowała długotrwałymi oklaskami, a poważny areopag jury stwierdził: „Bardzo miły zespół, ale"...

Zespół dramatyczny kopalni „Zbyszek" w Trzebini w sztuce „Gospodarz to ja"

Tak. Wiedziałem. Ale nie chłopski. Cóż poradzić na to. Na ogólnokrajowych dożynkach we Wrocławiu też zarzucano niektórym województwom, że wystawiły zespoły złożone ze studentów, przebranych w chłopskie sukmany, nie będących świetliczanami. Ludzkie ambicje, pomysłowość, złośliwość i konkurencyjna zawiść, nie wymierają, a licho wie, czy moi sympatyczni ludwikowiczanie nie są zawodowymi aktorami, udającymi wiejskich amatorów?

Postanowiłem przekonać się o tym osobiście i na miejscu, w Ludwikowicach. W trzy tygodnie po wojewódzkich eliminacjach, jadąc tam, wstąpiłem do Kłodzka, by przyjrzeć się ludowym zespołom, występującym na powiatowych eliminacjach w ramach czynu pokongresowego Z.S.L. Program zapowiadał łączną ilość ośmiu zespołów PGR, ZMP i ZSCh. Wśród tych ostatnich i Ludwikowice. Czekałem z niecierpliwością, co wystawią i jak się popiszą. Kiedy z kolei zespół ludwikowicki ukazał się na scenie w wodewilu „Spółdzielnia swatem", napisanym przez kierownika tego zespołu, a jednocześnie jego reżysera, ob. Lisiewicza, skupiłem się i nastawiłem krytycznie. O dziwo. W wybitnie ludowej sztuce, w ludowych strojach, przy tekście wygłaszanym ludową gwarą, ludwikowiczanie zachowali się tak zdrowo, po chłopsku, tak dziarsko i zamaszyście, że nikt nie mógłby mieć wątpliwości co do ich społecznego pochodzenia. Był to typowo chłopski zespół o wysokiej kulturze, o doskonałym reżyserskim przygotowaniu. Nikt z grających nie sypnął się, choć grali bez suflera. Treść sztuki aktualna: dziewczyna odpala wiejskiego kułaka i wychodzi za organizatora spółdzielni produkcyjnej. Ostatnia scena zamyka się brawurowym obertasem, widownia szaleje, zespół musi trzykrotnie bisować.

Podczas przerwy dostrzegłem w jury moją znajomą z jury wrocławskiego. Podchodzę do niej i zapytuję:

— No i jak wypadły Ludwikowice?

— Doskonałe! Świetne! Murowanie wezmą pierwsze miejsce!

— Chłopskie są, czy nie chłopskie?

— Naturalnie że chłopskie! Wybitnie chłopskie!

Ta opinia doskonałej znawczyni, przedstawicielki ORZZ, a więc instytucji rywalizującej z ZSCh w pracach świetlicowych, wypowiedziana była z przekonaniem.

W dwa dni po tym przyjechałem do Ludwikowic. Było to wieczorem. Wysiadłszy z autobusu, znalazłem się w dość ciemnej ulicy, choć wieś jak zauważyłem, była zelektryfikowana, leżąca w kotlinie między górami. Na podstawie obserwacji wyobraziłem sobie, że miło się tu mieszka, ale gospodarka rolna ma trudne warunki.

Wyobraźnia lubi błądzić po omacku, więc szybko odżegnałem się od niej, gdyż błądzić nie zamierzałem, natomiast obejrzałem się za kimś, kto by mi wyraźnie określił drogę do gromadzkiej świetlicy. Znalazł się taki, a właściwie natknął się na mnie w mroku i po wymianie kilku krótkich zdań, poszliśmy z nim środkiem szosy, przyświecając sobie bateryjkowymi latarkami.

— Kiepską macie szosę!

— A tak. Powybijana. Brak funduszów na remont. Gminę mamy biedną, bo w tych górach, panie, gleba nie rodzi obficie i pogoda grymaśna, ale na przyszłą wiosnę poprawimy szosę.

— Daleko stąd do świetlicy?

— Nie. Blisko.

— A czy zastaniemy tam kogoś?

— Napewno. O tej porze schodzą się na próby. Kończą też malowanie sali teatralnej. Napracowali się. Nie było tam ni okien, ni drzwi, a brudu leżało na łokieć. Przez dach się lało. Sami wszystko doprowadzili do porządku.

— Kto?

— Ano oni. Zespół.

— Jaki zespół?

Uprzejmy dotychczas przewodnik nie odpowiedział na moje pytanie, a po chwili milczenia sam zapytał:

— Panie? Skąd pan przyjechał?

— Z Wrocławia.

— Aha! No, to może pan nie wiedzieć, że nasz zespół świetlicowy znany jest nie tylko w kłodzkim, ale i w sąsiednich powiatach. Sławny zespół! Ho, ho!... Pozna go pan, bo już się zbliżamy. Te przed nami duże, oświetlone okna, to okna domu ludowego.

— Więc nie świetlica, lecz dom ludowy?

— A naturalnie! Dom ludowy! Dwa piętra i poddasze! Ho, ho!

Niebawem weszliśmy do wnętrza dużej sali teatralnej, gdzie dwaj mężczyźni w roboczych ubraniach, ochlapanych wapnem, zajęci byli malowaniem ścian. Znali mnie z wrocławskich eliminacji, gdzie kręciłem się między występującymi zespołami, więc też powitali mnie, jako swego sympatyka. Dwa dni temu widziałem ich na scenie w Kłodzku. Ten pierwszy grał wiejskiego bogacza, a drugi — drużbę. Kiedy dowiedzieli się, że przybyłem po to, by ich bliżej poznać i coś o nich napisać, uradowali się. Odłożyli narzędzia, zdjęli kombinezony i weszli w rolę gościnnych gospodarzy.

Dzięki doskonałemu oświetleniu mogłem dokładnie obejrzeć salę w całości, łącznie ze sceną i kulisami. Sala zaimponowała mi. Wysoka, akustyczna, mająca sześćset miejsc na parterze i balkon, estetycznie wymalowana. „Wiejski bogacz" pośpieszył objaśnić mnie, że scenę i kulisy wykonali członkowie zespołu, a członkinie uszyły kurtynę. Fraszka. Zapytałem, czemu sami malują, miast powierzyć to fachowcom? Odpowiedzieli, że potrafią, więc malują, zaoszczędzając 100 tysięcy złotych na robociźnie. Też fraszka. Zainteresowałem się, skąd biorą środki materialne na remont i urządzenia. Uśmiechnęli się i poczęli mi wyliczać, ile to mieli dochodu z przedstawień i koncertów, ile z bufetu, prowadzonego bez wódki, tak, tak — podkreślili — bez wódki, no i że robocizna ich nic nie kosztuje, bo zespół dał dotychczas darmowych dniówek pracy za blisko 200 tysięcy złotych, a i zarząd gminny udzielił subwencji.

W tym miejscu pomyślałem sobie z uznaniem o zarządzie ubogiej gminy Ludwikowice, wydatkującym na dom ludowy pierwej, niż na szosę.

Zacząłem pojmować, dlaczego ludwikowiczanie noszą radość w uśmiechniętych twarzach, bo i mój przewodnik, któremu teraz dopiero przyjrzałem się, tą cechą był obdarzony. W ludwikowickiej atmosferze i ja się poczułem radośnie. Miałem ochotę zaśpiewać, ale w czas powstrzymałem się, unikając kompromitacji, a podszedłszy do stojącego na sali fortepianu, wziąłem na nim kilka akordów. Dobry instrument. Znana marka. Podszedłem do pianina. Krzyżowe, o miękkiej klawiaturze, doskonale utrzymane. Instrumenty przydzielił U.L., ale ktoś praktyczny i znawca wybierał.

Mili gospodarze oprowadzili mnie po całym parterze, pokazując mi, gdzie mieszkał usunięty w lecie restaurator, który trzymał w budynku kozy i drób, ale dziś już śladu po tym nie zostało. Zespolanki usunęły nawóz, wyszorowały podłogi, po i teraz lśni wszystko czystością, aż miło. Tu będzie świetlica, obok czytelnia, tam pokój pingpongowy, a dalej — bufet. Zapytałem o bibliotekę i dowiedziałem się, że ta mieści się narazie na piętrze, liczy już kilkaset tomów i właśnie odbywa się jej porządkowanie

Weszliśmy na piętro. Wszędzie wzorowa czystość i porządek. Ciepło. W bibliotece siedzi bibliotekarka i sporządza ewidencję książek. Zamieniam z nią kilka słów. Jest zadowolona ze swej pracy, uśmiechnięta. Książki w dobrym stanie. Część oprawiona w szare płótno, inne w twardą tekturę, reszta czeka na oprawę. Cztery szafy, między nimi piękna stylowa gablota, mogą pomieścić kilka tysięcy tomów. Jestem przekonany, że wkrótce ją zapełnią.

Dom ludowy ma swoją kancelarię. Przestronną. Pod oknami dwa biurka, przy przeciwległej ścianie okrągły stół, kanapka, szereg krzeseł. Za dziesięć minut, o oznaczonej planem godzinie, zejdą się tu członkowie zespołu, odbędą naradę, a potem pójdziemy na próbę, do pachnącej świeżym wapnem teatralnej sali. Tymczasem czekamy, gwarząc. Pytam o sport. „Drużba", widocznie miłośnik sportu, zapala się:

— O tak! — powiada. — Młodzież wiejska garnie się do sportu. Mamy już boisko do siatkówki, mamy nawet kort tenisowy...

— Co? Macie kort tenisowy?

— Owszem. Przy elektrowni. Narazie tenis jest dla nas za kosztowny, ale nie rezygnujemy z niego. Kiedyś zdobędziemy się na sprzęt. Najpierw wytrenujemy się w siatkówce i piłce nożnej, zwyciężymy kilka razy w spotkaniach, to i na biały sport znajdziemy środki.

Jestem coraz bardziej zdumiony. Żałuję, że z powodu nocy nie mogę już zaraz obejrzeć tej ciekawej wsi Ludwikowice. Chcę jak najprędzej doczekać się przybycia całości zespołu, bo chwilami wydaje mi się, że to wszystko, co widzę i słyszę, jest bajką. Nikt tu nie narzeka na braki, na sąsiadów, nikt nie oczekuje manny z nieba, nikt nie przechwala siebie, poniżając innych, cóż to za dziwna wieś! Muszę z tej mistyfikowanej krainy szczęścia zedrzeć zasłonę i na gorąco przyłapać ukrywaną rzeczywistość. Wśród liczniejszej gromady znajdę malkontentów, umiejętnie pociągnę ich za język, a napewno wygadają się.

Wkrótce zespolanie zaczęli się schodzić. Nie minął kwadrans, a byli już wszyscy. No no! Niebywała punktualność!

Obsiedli stół, przyglądając mi się z zainteresowaniem. Objaśniam ich, po co przyjechałem i proszę, by po naradzie udzielili mi wiadomości. Narazie są zaaferowani, kobiety poszeptują między sobą, ktoś rzuca dowcipem, wybucha śmiech, następuje ożywienie i padają propozycje. Ktoś proponuje, by naradę odłożyć, inni proszą mnie o napisanie dla nich sztuki teatralnej, wreszcie kierownik ucisza gwarzących i postanawia, że narada odbędzie się po próbie, a teraz niechże gość, to znaczy ja, przeprowadzi swój wywiad. Zgromadzeni jednogłośnie zgadzają się na to, ja dziękuję za okazaną mi uprzejmość, kładę na stole notatnik i ołówek, a rozglądając się po otoczeniu, upatruję sobie pierwszą ofiarę. Nastrajam się poważnie, choć wiem, że w tym środowisku raczej odpowiednim byłby wywiad na wesoło, ale przecież chcę przyłapać tych, podszywających się pod miano chłopa, zwolenników frywolnej sztuki, rewiowiczów, deprawujących polską wieś. Nie ma żartów!

Zaczynam od kierownika. Dobrodusznie patrząc mi w oczy, uśmiechając się (to ich wspólna cecha), opowiada swój krótki życiorys, z którego wynika, że przed wojną grywał w amatorskich teatrach, a podczas wojny prowadził przez trzy lata ochotniczy zespół teatralny w Związku Radzieckim. Zdaje się, że już chwytam za nitkę prawdy. Mistyfikator! Oczywista! Ukrywa swoją przedwojenną zawodowość aktorską, lecz cóż mogę zrobić, kiedy legitymuje się członkowstwem ZSCh, również jako rolnik na kilku zagonach i przewodniczący komisji rewizyjnej w zarządzie gminnej spółdzielni, a ponadto miejscowy kolejarz. Jeśli był zawodowym aktorem, to dzisiaj nim nie jest i w amatorskim zespole wolno mu pracować. Wolno, nie wolno? Co to za niedemokratyczna zasada? Komu by się krzywda stała, gdyby zawodowy, czynny aktor poprowadził teatr amatorski? Myślę, że nie sztuce!

Stępiwszy ostrze swego nastawienia, już tylko dla własnej ciekawości zaczynam naciągać kierownika, by się przyznał, czy kiedyś występował na zawodowej scenie. On już się nie uśmiecha, lecz głośno się śmieje, wyciąga z kieszeni portfel, szuka w nim przez chwilę i kładzie przede mną dokument. Tak jest! Był! Od młodości był zawodowym... kolejarzem. Ha ha ha! To ci heca!

Z głównym posądzonym nie udało mi się. Doznaję miłego zawodu i szukam dalszej ofiary. Pod mój ołówek dostaje się „bogacz wiejski". Ten za wiele umie. Maluje, dekoruje, śpiewa, gra w teatrze i bodajże na skrzypcach, porusza się swobodnie, robi wrażenie oblatanego mieszczucha, choć na scenie był chłopem bez zarzutu. Wykształcenie? Wiejska szkoła podstawowa i nic więcej. W młodości trochę praktykował u malarza. Pochodzenie społeczne? Chłop z chłopa! Zawód? Małorolny. Członek ZSCh, pracuje w zarządzie gminnej spółdzielni.

Znowu nie powiodło mi się, więc zaginam parol na solistkę. Niewiasta koło trzydziestki, wcale miły i dość mocny mezzo-sopran, szkoda że nie wyszkolony. Na wrocławskich eliminacjach miała chrypkę, ale w Kłodzku występowała z dużym powodzeniem. Okazuje się, że jest matką dwojga dzieci, żoną pięciohektarowego rolnika, członka ZSCh. Obok niej siedzi rezolutna, z ładną buzią panienka, sama mi się legitymauje, jako wiejska nauczycielka, córka małorolnego gospodarza i znowu członka ZSCh. W dalszym wywiadzie natrafiam na trzy mężatki, gospodynie wiejskie, a reszta płci niewieściej to już dziewczęta, chłopskie córki.

Jestem pokonany, kiedy wszyscy mężczyźni kolejno podsuwają mi przed oczy swoje członkowskie legitymacje ZSCh. Przypuszczalnie mam niewyraźną minę, ale odczuwam wielką satysfakcję. Niech mi teraz ktoś powie, że ludwikowicki zespół nie jest chłopskim zespołem!

No, dość już tych nieprzyjemnych badań! Ostentacyjnie zamykam notatnik i wybieram w myśli argument, którym zapełnię wyrwę, powstałą na gruncie mych dobrych stosunków z zespołem, lecz zespolanie są tak poruszeni, że nacierają na mnie kupą, po chłopsku i żądają bym ich wysłuchał, a także zanotował, co mi powiedzą. I mówią. Właśnie mówią o swej wrocławskiej porażce. Już ją przeboleli. Wiedzą co im zarzucono i wiedzą też, że jestem im życzliwy. Pamiętają moje rady i zapewniają mnie, że na przyszły rok pojadą na centralne eliminacje. Bezwzględnie pojadą! Zrozumieli swoje błędy i na błędach uczą się. Tutaj ulegli wzorom z teatrzyków rewiowych, odwiedzających okoliczne uzdrowiska, obecnie przestawiają się, poprawiają swój styl i w ogóle, w ogóle... Poznawszy sprawę na miejscu, niechże powiem tym fachowcom we Wrocławiu, że chłopski zespół z Ludwikowic nie jest podrabiany, jeno potrafi obracać się i na klepisku i na parkiecie...

Wygadawszy się, poszli na próbę, a ja z nimi.

Ćwiczyli dwie pieśni na chór mieszany. Swego uśmiechu ćwiczyć nie potrzebowali, bo jest naturalny, szczery, a przez to ujmujący. Będzie im zawsze towarzyszył w ich zdobywczym kroku, bo tacy już są ci moi mili ludwikowiczanie, że i sobie radość i społeczeństwu radość niosą.

Na pożegnanie zaśpiewali mi ulubione przeze mnie „Wasiloczki". Jeszcze mi dzisiaj w uszach dzwoni zakończenie refrenu, z uczuciem wykonanego przez mężatkę z dwojgiem dzieci, gospodynię wiejską na pięciohektarowym gospodarstwie, mezzosopran o dużych walorach, nieprzeciętny talent ludowy, którym koniecznie trzeba się zająć...

Ach wasiloczki, wasilki!...

Na drugi dzień, odjeżdżając, oglądałem Ludwikowice. Nie znalazłem w nich żadnych zmian, nadzwyczajności. Ot, zwykła sobie podgórska, dolnośląska wieś, jak każda inna...

A jednak inna.

Józef Kowalski.

JÓZEF FIREK

ZACZĘŁO SIĘ OD

Zamieszczając wspomnienia o dawnym teatrze amatorskim na wsi z okresu po pierwszej wojnie światowej i rządów sanacji — redakcja pragnie zwrócić uwagę czytelników na kilka spraw. Wypowiedź Firka, ciekawą od strony dokumentarnej, ciekawą też jako wyraz określonej postawy kulturalno - społecznej należy czytać właśnie jako wypowiedź człowieka, który z tej postawy zasadniczo się nie wydobył, chociaż zdaje także relację z nowego etapu wsi, w którym znajdujemy się obecnie. Postawa ta — to typowe w systemie wsi przedwojennej działactwo jednostki wybitnej, pełnej inicjatywy, oblatanej w świecie, ale działającej niemal samopas, bez oparcia, lub co najwyżej z poparciem autorytetów parafialnych na wsi, walcząca z opinią społeczeństwa wiejskiego przeciwstawionego jednostce — działaczowi. W porównaniu do zamieszczonych w dalszym ciągu wypowiedzi na temat obecnego ruchu amatorskiego na wsi i na temat festiwalu radzieckiego na wsi — tym silniej uderzają różnice warunków rozwoju kulturalnego, a nawet różnice zaszłe w ludziach, wciągniętych w ruch kulturalny wsi. Aktorzy Firka — pełni uraz, skłonni do obrazy, gotowi w każdej chwili usunąć się z zespołu, jeśli usłyszą słowo krytyki czy dezaprobaty, to nie ci młodzi, którzy w rolach bohaterów sztuki radzieckiej przekształcają swoją psychikę i zdobywają poczucie odpowiedzialności za zespół, za grupę. Pełen entuzjazmu i poświęcenia młody zespół opisany w reportażu z festiwalu — poprowadziłby sam swoją pracę, nawet bez kierownika. Zespół Firka rozpada się za każdym razem, gdy on z konieczności się wycofa. Nie wytrzymuje też natarcia rządowych sanacyjnych czynników, mimo, że podszywa się pod oddział ochotniczej straży pożarnej.

We wspomnieniu Firka ciekawie i plastycznie maluje się przemiana nastroju samej wsi, mimo że autor nie dorósł do klasowego widzenia problemów kultury. „Tłok" teatralny powoli pod wpływem polityki sanacji rzednie, atmosfera oziębia się, zapał dla teatru wyczerpany w codziennych troskach gospodarczych — słabnie. Zresztą zespół teatralny Firka, to drobna grupa, dochodząca najwyżej do 20 ludzi, w czym kilka osób stanowią członkowie jego rodziny, grupa niemal wyspecjalizowana, zamknięta wobec nieprzyjaznej na ogół opinii wsi. Firek tworzy coś w rodzaju małej trupy teatralnej na wsi. To nie jest szeroki, masowy ruch kulturalnego i ideologicznego wyżycia się, jak to ma miejsce obecnie we wsiach, objętych festiwalem radzieckim. W tej sytuacji nie dziwi repertuar obliczony na schlebianie najprymitywniejszym gustom wiejskiej publiczności, która chce się przede wszystkim i tylko pośmiać i zabawić. Zespół teatralny nie stawia sobie zadań wychowawczych, mimo że autor wspomnienia posługuje się motywami społeczno oświatowymi. To też farsy, wesołe intermedia, komedyjki stanowią repertuar tego teatru przetykany tylko z rzadka widowiskami obrzędowymi (jasełka) i rocznicowymi („Marsz, marsz Dąbrowski" — na 29 listopada).

Ciekawe jest także i słuszne to, co mówi Firek o domu teatralnym, o tym, że kultura na wsi powinna posiadać własny dach nad głową. Wiele miejsca poświęca więc perypetiom lokalowym zespołu teatralnego. Dziś zwłaszcza, w okresie budowy Domów Kultury na wsi — te cierpienia przedwojennego działacza teatralnego dobrze rozumiemy.

Redakcja

Pierwsze przedstawienie amatorskie, było grane na wsi mojej w październiku 1923 r. Grano utwór: „Błażek opętany". Brałem udział w grze (Czesław) i równocześnie kierowałem zespołem. Nabyłem tę i wiele innych sztuk scenicznych dla teatrów amatorskich za własne pieniądze w Krakowie, skąd wróciłem po kilkuletnim pobycie, a że lubiłem teatr, w czasie pobytu w Krakowie często tam bywałem. Wróciwszy do wsi nie miałem możności zaspokoić nawyku, więc postanowiłem utworzyć we wsi zespół amatorski, by dać mieszkańcom, w wolnym od pracy czasie miłą i kulturalną rozrywkę, a sobie podwójną satysfakcję, bo nazywało się to, że byłem w „teatrze" i nie tylko widziałem, lecz grałem i kierowałem grą innych aktorów. Zaznaczyć muszę, że nie miałem żadnych wybitnych zdolności, lecz tak jakoś się składało, że mimo woli, chcąc nie chcąc, musiałem zawsze kierować choć byli i zdolniejsi i starsi wiekiem ode mnie, w „zespole".

Miałem wówczas 19 lat. Utworzenie zespołu i wybranie aktorów, do „Błażka opętanego", poszło mi dość łatwo, miałem bowiem sporo znajomych i kolegów, co prawda starszych od siebie, lecz o podobnych poglądach — nade wszystko — zdolnych, obytych w świecie, jak np. H. Suder, J. Michina, J. Włodarczyk, P. Pokusa; z kobiet żona moja (wówczas narzeczona), — A. Góralówna, M. Sudrówna i in Stał wówczas — dziś zburzony — dom w pobliżu kościoła w Zakliczynie, zwany „organistówką", w którym w jednej połowie mieszkał organista z rodziną, w drugiej uczyła się dziatwa wiejska w dużej sali. Była tam więc i szkoła. Prócz tego były dwa pokoje na mieszkanie dla kierownika szkoły.

Gdy po pierwszej wojnie światowej, wieś zbudowała obszerny budynek na szkołę, sala na „organistówce" stała pusta. Ponieważ był to dom parafialny, zarządzał nim ówczesny proboszcz ks. W. Wójłowicz. Ten, gdy dowiedział się, że stworzono na wsi „zespół" przyklasnął naszym zamiarom i przyrzekł pomoc w remoncie sali i zbudowaniu sceny... Dotrzymał słowa, bo, jak zaznaczył, dawno taki zespół winien być we wsi, żeby pracować nad podniesieniem kultury wśród mieszkańców. Zbudowaliśmy więc scenę za składkowe pieniądze, połowę desek i drzewa otrzymaliśmy darmo od proboszcza, który będąc sam synem chłopa (z Węglówki) dbał o oświatę wśród chłopów, każde nasze przedstawienie ogłaszał z ambony zachęcając i młodzież i starszych

(Dokończenie na str. 3-ej).

„REPORTAŻ O WSI“

ZBIGNIEW GOPIŃSKI

FESTIWAL

Sala Okręgowej Rady Związków Zawodowych powoli pustoszała. Ostatni widzowie występów wiejskich zespołów świetlicowych gromadzili się zwolna na przystanku tramwajowym.

— No, jakie pani odniosła wrażenie z festiwalu?

Zapytana wydęła pogardliwie ukarminowane usteczka.

— Przecież to skandal te zespoły wiejskie. Po co one pchają się na scenę i to z takimi sztukami wystawianymi przez teatry zawodowe.

— A zauważyła pani tego z tą spuchniętą gębą? No, w tej sztuce, którą wystawiał zespół z inowrocławskiego. I takiego na scenę dopuszczają!

*

A jednak takiego nawet ze spuchniętą gębą dopuścili na scenę. I co więcej, nawet ten zespół został wyróżniony na czwartym miejscu.

Ale zanim na deski sceniczne bydgoskiego ORZZ wystąpił i ten ze spuchniętą gębą i ten zespół który wystawiał tę sztukę, do której rzekomo prawo ma tylko teatr zawodowy, stało się wiele, wiele rzeczy.

Wróćmy do początku, bo to, od czego zaczęliśmy to już tylko finał, zakończenie wielu tygodni żmudnej pracy, wielu rozczarowań, których nie brak było i w dwie minuty przed pójściem w górę kurtyny.

A było to tak.

*

— Ej Wojciechu! Wojciechu!

Idący błotnistą drogą wiejską chłop odwrócił się. Śpieszno mu było do domu, bo mu Łysula niedomagała. A z krową to nie wiadomo. Pochoruje, pochoruje i już jej nie ma.

— Poczekajcie-no! — z opłotków niskiej chałupy wyszedł na drogę Hieronim sekretarz organizacji partyjnej. — Na chwilę tylko.

Kiedy, Wojciechowi naprawdę śpieszno było do domu.

Hieronim dostrzegł to.

— Ja tylko chciałem was spytać, czy nasza wieś też coś zrobi na ten festiwal?

Wojciech Pieron spojrzał niechętnie.

— A czy my to aktorzy, albo jacyś artyści, żeby się bawić w teatr?

Hieronim uśmiechnął się.

— Ejże, Wojciechu, nie takie rzeczy się u nas robiło. Jest świetlica to i zespół teatralny musi być. No, a jakby to było — dodał zachęcająco — żeby tak nasz zespół z Pałczyna gmina Złotniki Kujawskie pojechał do Bydgoszczy na ten... festiwal?

— Zawracanie głowy! Może ja z tymi swoimi czterema klasami szkoły powszechnej będę uczył jak występować na scenie, co? Tfu! Też macie pomysły!

Wojciech Pieron odwrócił się i ruszył szybkim krokiem. Sekretarz machnął ręką.

— I gadaj tu z takim!

*

To był początek. Związek Samopomocy Chłopskiej przygotowywał festiwal sztuk radzieckich. Wojciech Pieron przewodniczący koła gromadzkiego we wsi Pałczyn gmina Złotniki Kujawskie powiatu inowrocławskiego otrzymał odpowiednie pismo. Że niby i z jego wsi mogą wziąć udział w tym festiwalu. Przysłali mu nawet spis tytułów sztuk teatralnych.

W pierwszej chwili to nawet zażartował.

— Słuchaj, stara — powiedział do swej wcale nie starej jeszcze żony — możebyśmy tak w dwójkę zagrali, co? Dopiero byśmy pokazali.

— Zgłupiałeś chyba, zbereźniku stary! A byłeś ty chociaż raz w teatrze?

— A byłem w Bydgoszczy, podczas kursu partyjnego...

— No i co? To już aktorem jesteś, czy co?

Wojciech machnął ręką.

— Przecież ja zażartowałem tylko.

Po chwili milczenia dodał.

— Żeby nam tak przysłali kogo do pomocy, takiego prawdziwego aktora, to kto wie, czy bym nie popróbował i ja. Ech! Marzenia ściętej głowy!

Wyszedł z chaty. Czas było nakarmić siwka. Spojrzał dumnym wzrokiem po obejściu. Porządek u niego był.

Ale zapracował rzetelnie. Przecież nie tak dawno jeszcze bo w 1945 roku był włóczęgą bez pracy. A dziś dorobił się już. Ma 5 ha ziemi z parcelacji, budynki, ma konia, krowę, pięć świń, stado kur, kaczek, gęsi. Dobrze mu się żyje.

Sztukę wystawić — przypomniał sobie — to głupota? A przecież i inne rzeczy się już robiło! Może by tak jednak spróbować!?...

Ze stajni rozległo się rżenie konia.

Nie czas o głupstwach myśleć!

*

Przez tydzień Wojciech Pieron nie myślał o tym festiwalu. Co to właściwie znaczy — festiwal? Bo to przecież koń by się uśmiał. Chce niby też brać udział w tym festiwalu, a nie wie nawet, co to słowo znaczy.

Zapomniał już o rozmowie z Hieronimem na ten temat, kiedy, w sobotę to było, Hieronim przyszedł do niego wieczorem.

Siadł, poczęstował papierosem, pogadał o tym i o owym, ale Wojciech od razu zmiarkował, że on ma jakiś interes do niego, że to nie takie przypadkowe odwiedziny.

— No, powiedz, z czymżeś przyszedł? — zwrócił się do sekretarza.

— Jeszcze z tym festiwalem.

— Dałbyś spokój!

— Posłuchaj mnie. Pamiętasz jak do szkoły chodziłeś?

— Czemu bym nie miał pamiętać?

— A na książki i zeszyty miałeś?

— A z czego. Kiedy ojciec parę dni w miesiącu u bambra służył, a matka na paraliż chora leżała?

— A uczyć się chęć miałeś?

— Jeszcze dziś mam. I kiedy mogę, to się poduczę zawsze troszkę.

— No to w porządku.

— Co znaczy: no to w porządku? — żachnął się Wojciech.

— Teraz już wiem, że będziesz grać i że ty właśnie wystawisz nam sztukę.

— A skąd ty to wiesz?

— Bo widzisz, będziesz miał okazję nauczyć się czegoś. Posłuchajno. Rozmyślałem nad tym festiwalem i wykalkulowałem sobie tak. Przecież na festiwal radziecki trzeba wystawić jakąś radziecką rzecz. Prawda?

— No prawda.

— Widzisz, a jak my wystawimy radziecką rzecz, to się i coś przy tym nauczymy.

— Niby czego? Jak na scenie chodzić?

— Żeby się nauczyć, jak na scenie chodzić, ,to możesz zagrać „Wesele panny Klary“ albo takie kawałki jak grali przed wojną ci z KSM-u pamiętasz przecież. A tu widzisz zupełnie coś innego. Tu my się nauczymy, jak żyją ludzie w Związku Radzieckim, jak pracują, jak...

— Czy tylko takie sztuki tam się znajdą?

— No, a może pojechałbyś do Inowrocławia i dowiedział się, co oni za sztuki mają. Zobaczylibyśmy, pomyśleli, a chętnych to by u nas się znalazło, co?

— Specjalnie do Inowrocławia nie będę za sztukami jeździł. Powiedzą jeszcze, że cyrkowca ze siebie robię.

*

Tak się złożyło, że następnego dnia Wojciech musiał pojechać do miasta.

Iść po te sztuki czy nie iść? Poszedł. Przemogła w nim chęć przeczytania czegoś nowego.

Chociaż przeczyta tylko, nie potrzebuje zaraz z tym festiwalem — pomyślał.

W Zarządzie Powiatowym znali dobrze Pierona.

— A no nareszcie jesteście. Bo myśmy się tu nawet założyli, że przyjdziecie do nas. No bo jakby to było, festiwal bez was?

Teraz to już nie wypadało odmówić. Wziął tam jakąś sztukę co mu podsunęli — nawet na tytuł nie spojrzał.

— No to zapiszemy i wasz zespół świetlicowy do festiwalu. Wpierw będą eliminacje tu w Inowrocławiu...

— A to co znowu? E-limi-nacje to też festiwal?

— Nie! To taki niby egzamin. Który zespół okaże się najlepszy w powiecie, ten dopiero pojedzie do Bydgoszczy. Chyba pokażecie, co umiecie.

— Jak mi dacie aktora, to pokażę.

— Będzie i aktor. A wy przygotujcie tylko zespół.

— Dobra, zrobi się.

Jeszcze w drzwiach odwrócił się.

— Ale bez prawdziwego aktora to ani rusz.

— Załatwi się!

„Wesele Jagny“ w wykonaniu ZMP z spółdzielni produkcyjnej w Wysocicach pow. Miechów

Myślicie, że „załatwiło się“? Wiadomo, że samo się nic nie zrobi. Na próżno czekał Wojciech Pieron na tego „prawdziwego“ aktora. Nawet sekretarz pojechał specjalnie do miasta, obiecali, przyrzekli, a upłynął tydzień i nikt nie przyjechał.

Ale teraz Wojciech Pieron rozeźlił się. Co oni tam sobie myślą, że chłopi z Pałczyna nie dadzą rady i bez aktora? Teraz Wojciech Pieron pokaże, co umie.

Zwołał wieczorem zebranie do świetlicy. Przyszli i młodsi i starsi. Bo to już rozeszła się wieść po całej wsi o tym festiwalu. Pieron mówił krótko.

— Kto chce zagrać, niech się zgłosi.

Okazało się. że chętnych jest za dużo. Do sztuki trzeba było tylko siedmiu, a zgłosiło się aż dwunastu. Kiedy jednak chciano od razu rozdzielać role, Pieron zakłopotał się. Bo to trudna sztuka i jaką tu komu dać rolę?

— A kto z was był już w teatrze?

Milczenie było wymowną odpowiedzią. Zafrasował się Wojciech. No, bo jakżeż tu co robić, kiedy nikt z nich nie widział jak to w prawdziwym teatrze grają.

Ale raz danego słowa trzeba dotrzymać. Pokażę tym z Inowrocławia, że obejdziemy się bez ich łaski. Zagramy. Tak, jak nas na to stać.

Jeszcze tego samego wieczoru siedli do przepisywania ról. Trochę kłopotu było z tymi nazwiskami, bo to i Ratnikow i Burmin Sorokin, ale już po godzince nie mówili do siebie inaczej jak imionami bohaterów sztuki: Pietrow, Anna.

Dochodziła północ, a oni jeszcze siedzieli i pisali.

Nagle Antek, który miał zagrać główną rolę sekretarza Komitetu Miejskiego Partii, odłożył z niechęcią pioro.

— Nudna ta sztuka jak flaki z olejem. Jeden chce budować i drugi chce budować, kłócą się, ten ma rację i ten ma rację. Po co takie sztuki wystawiać. Żeby tak coś o wsi, albo żeby chociaż więcej śmiechu było. Kiedyś w Złotnikach widziałem takie rewie. Tancerki były, śpiewali...

— A co może jeszcze i gołą dupę ci pokazali? — rozeźlił się Wojciech. — Jak nie rozumiesz, to przynajmniej głupio nie gadaj, a zapytaj się. A jak się tobie nie podoba, to nie zawracaj głowy. Idź sobie te gołe nogi i te twoje tancerki oglądać, a nie tu do festiwalu...

Antek zaczerwienił się.

— Coście się tak zaraz rozpieklili.

— Bo się nie rozumiesz, a swoje trzy grosze wtrącasz.

Reszta zebranych siedziała w milczeniu. W duszy przyznawali rację Antkowi. No bo co to właściwie ma z nimi wspólnego, że w pewnym mieście odbudowują się. Bo i Ratnikow ma rację. Oni by też chcieli mieszkać w pięknych domach, w takich o jakich on marzył. Ale z drugiej strony ma rację i Pietrow. No bo przecież nie wiadomo, jak długo będą czekać robotnicy na te nowe, potężne gmachy.

I o tych swych wątpliwościach powiedzieli Pieronowi.

No widzicie, najważniejsze, że musicie myśleć trochę nad sztuką. A to najważniejsze. Kto z nich dwóch miał rację? Pietrow czy Ratnikow? Ja myślę, że chyba Pietrow.

— No a dlaczego? — spytał ktoś.

— Widzicie, ja tak myślę, że gdyby wszyscy myśleli jak Ratnikow, to jeszcze dziś siedzielibyśmy w jakichś czworakach i nie mielibyśmy swoich chałup. Przecież weźmy naszą Warszawę. Zupełnie zniszczona. I gdyby tam siedzieli tacy jak Ratnikow, którym w głowie byłyby wielkie plany takich drapaczy chmur, olbrzymich gmachów, robiliby dziś jeszcze projekty i plany, a ludzie by chyba w piwnicach musieli mieszkać. A my mamy coraz więcej takich Pietrowów, co to im na sercu leży los robotnika i chłopa, którzy robią wszystko by już dziś, to co można dać im. I my kiedyś będziemy mogli marzyć o takich gmachach i pałacach.

— Ja sobie tak myślę, — wtrąciła Zośka, która miała grać żonę Ratnikowa. — Przecież i u nas na wsi ma być kiedyś tak jak w mieście. I woda w każdej kuchni i łazienka i elektryczność. No a wiemy, że za biedni jeszcze na to jesteśmy. No to co? Mamy czekać aż się samo zrobi? I dlatego zaprowadzają prąd chociaż do chałupy słomą krytej. I tak codzień coraz lżej i lepiej.

— O widzisz, Zośka, ty dobrze pomyślałaś. — Pieron odwrócił się do Antka ,który cicho siedział i z uwagą wsłuchiwał się w dyskusję. Może jeszcze teraz powiesz, że lepsze to te gołe nogi tych tancerek, coś je tam gdzieś widział?

— No, ja tylko tak dla żartów, Wojciechu.

— Młodyś jeszcze, Antek, i głupie myśli ci po głowie chodzą. Ale — spoważniał nagle — słuchaj no, ty nie będziesz mógł Pietrowa grać.

— Jak to, niby dlaczego? — zdziwił się Antek.

— Bo ty nie rozumiesz, co to za człowiek. A nie będziesz mógł tej roli dobrze zagrać, jak nie zrozumiesz, jakiego człowieka przedstawia. Dopiero kiedy zrozumiesz, że Pietrow to człowiek, którego najważniejszą troską jest właśnie ten robotnik, dla którego on wszystko zrobi, to będziesz mógł go zagrać. Jak ty będziesz mógł gadać jak sam nie wierzysz w to, co masz mówić. Musisz czuć, że te słowa mówi prawdziwy komunista.

Antek wolno uniósł się z miejsca.

— Ja zagram Pietrowa i zobaczycie, że nie pożałujecie. Zagram go tak, jak trzeba.

*

I rzeczywiście zagrał, tak jak trzeba. Nie tylko on, ale i wszyscy.

Kiedy przyjechali do Inowrocławia, to nawet troszkę z uśmieszkiem na nich patrzyli. Bo oni nawet chwalili się, że nikt z nich jeszcze w prawdziwym teatrze nie był, a tu z taką sztuką przyjechali.

A najwięcej to się zezłościli, jak to ich na listę zapisywali.

— Kto reżyserował? — zapytał ich taki młody urzędnik.

— Ja — odpowiedział śmiało Wojciech Pieron.

— A wy kim jesteście?

— Jak to kim? Chłopem, przecież nie organistą.

— Ale na jakichś kursach byliście chyba, co?

— O, i na jakich jeszcze. Cztery klasy szkoły powszechnej i 19 lat u bambra. Wystarczy?

Zespół świetlicowy Związku Samopomocy Chłopskiej zajął w eliminacjach powiatowych pierwsze miejsce i został zakwalifikowany do wyjazdu do Bydgoszczy.

Wojciech Pieron nie wytrzymał i kiedy po ogłoszeniu wyników spotkał tego urzędnika, co się tak dziwił, że to on, zwykły chłop reżyserował sztukę, powiedział:

— No i organista lepiej by nie potrafił, co?

A po powrocie do domu to z radości aż uszczypnął swoją starą.

— Widzisz i aktorem nie jestem, a nauczyłem ich grać. Teraz jeszcze trochę poprawimy, pogładzimy i jazda do Bydgoszczy. My im jeszcze pokażemy.

*

Ale o mało co nic by nie pokazali.

Bo chociaż przyjechał nawet prawdziwy aktor i pomógł im pogładzić, jak mówił Pieron, poprawili dekorację, wyznaczony został nawet termin, kiedy późnym wieczorem do chaty Wojciecha wpadła Zośka.

— Słuchajcie Wojciechu, czy to prawda, że mamy za dwie niedziele występować w Bydgoszczy?

— Prawda!

— No to nie będziemy występować! — wybuchła nagle.

Wojciech przyjrzał się jej uważnie.

— Eee, co ty tam znowu gadasz. Niby dlaczego?

— Bo ja mam akurat wesele i nie pojadę z wami.

— Dziewucha, czyś ty oszalała? Teraz by miało wszystko się rozlecieć?

Zośka milczała.

— Macie dwa tygodnie, to szukajcie sobie inną — wtrąciła żona Pierona.

— Tak się tobie mówi. Macie dwa tygodnie czasu. A kto będzie chciał się uczyć? I jak zagra?

— Rozmawiałam już z Irką. Ona się zgodzi — powiedziała trwożnie Zośka.

— Co? Irka? — zdziwił się Wojciech. — Przecież jej ojciec nie pozwala nawet chodzić razem z tymi, co kiedyś pod panem byli. Bamber cholerny. A tu nagle miałby się zgodzić, żeby jego córka razem z jego parobkiem grała. Ej Zośka, coś mi się tu nie widzi.

— Kiedy ona sama mi powiedziała, że chciałaby zagrać.

— No, jak innej rady nie ma, to weźmiemy choć Irkę, ale w Bydgoszczy zagramy!

— I rzeczywiście Irka uczyła się roli. Zrobili jeszcze próbę, jedną i drugą. Dobrze nawet grała. Taka chętna była, aż się Wojciech dziwił. Ojciec Irki nieraz przecież wyzywał na tę demokrację, od komunistów ich wyzywał, a teraz nic nie mówi, jak jego córka wieczorami w świetlicy siedzi. Nadziwić się nie mógł.

Aż tu w piątek rano, kiedy mieli jechać w niedzielę, Irka przysłała młodszego braciszka z karteczką do Pierona.

„Proszę się nie gniewać, ale w niedzielę nie mam czasu i nie będę mogła z wami pojechać.“

Wojciech Pieron aż się zatrząsł ze złości.

— A to małpa cholerna — krzyczał na całe podwórze — to ona naumyślnie przyszła do nas. Ach, ty gangreno! Bamberka diabelna!

Uspokoić się nie mógł.

— Ale czekaj, my tobie pokażemy. Pojedziemy chociażby świat się miał zawalić.

Pobiegł szybko do wsi. Janka się nauczy. Zdolna dziewucha. 17 lat ma dopiero, ale sierota, sama przepychała się przez życie, to i tu da sobie radę.

— I pojechali. Chociaż nie tak, jak myśleli. Bo Antek przyszedł na dworzec ze spuchniętą gębą. Ledwo mógł mówić. Wojciech Pieron aż sobie włosy wyrywał ze złości z głowy. No bo tu ani próby nie zrobili z Janką, a tu do tego ten ze spuchniętą gębą.

— I jak tu jechać do Bydgoszczy? Przecież wyśmieją nas. I to ma być najlepszy zespół z całego powiatu inowrocławskiego!

W milczeniu wsiedli do pustego wagonu. Półtora godziny jazdy. Zdążą jeszcze próbę zrobić. Antek z trudem wymawiał swą rolę. Tuż przed Bydgoszczą zrobiło mu się niedobrze. Ledwo go doprowadzili.

— Antek, błagał go Wojciech — trzymaj się jeszcze te parę godzin. Żebyśmy chociaż zagrali. Bo co nam powiedzą, jeśli w ogóle nie wystąpimy.

— I Antek „trzymał się“. Ale kiedy ustawili już dekorację na scenie, kiedy Wojciech spojrzał przez dziurkę w kurtynie na widownię, powiedział głośno:

— Nie, na pośmiewisko się nie dam.

Wybiegł do szatni, a tu na kanapce leży Antek i na głowę mu leją kubeł zimnej wody.

— Antek ,idę odwołać przedstawienie.

Ale Antek nie dosłyszał.

Pieron wybiegł szybko na salę poszukać komisji sędziowskiej. Wtem na scenie ukazał się zapowiadacz.

— A teraz wystąpi zespół świetlicowy Związku Samopomocy Chłopskiej z Pałczyna, gmina Złotniki Kujawskie, powiat Inowrocław, który wystawi w reżyserii chłopa małorolnego Wojciecha Pierona sztukę...

Ale Wojciech nie dosłyszał już dalszych słów. Wpadł do szatni i powiedział tylko.

— Już zapowiedzieli nasz występ.

— No to zagramy odrzekł wolno Antek.

Wojciech spojrzał zdumiony.

— Jakżeż ty chcesz iść na scenę, z tą gębą?

— Tak pójdę.

— A cholera niech to wszystko weźmie. Idziemy!

W przejściu za kulisami Wojciech Pieron uścisnął w milczeniu dłoń Antka.

Bo dla niego, większą nagrodą była postawa Antka, aniżeli ta nagroda, jaką otrzymali do Zarządu Wojewódzkiego Związku Samopomocy Chłopskiej. W eliminacjach wojewódzkich zespół świetlicowy gromady Pałczyn zajął czwarte miejsce.

*

I tak, w dużym skrócie przedstawia się historia występu zespołu z gromady wiejskiej, zespołu, który „odważył“ się wystawić sztukę graną także przez teatry zawodowe. Tak przedstawia się w dużym skrócie historia występu Antka ze spuchniętą gębą.

I ostatecznie nie możemy mieć do was, panie z widowni, pretensji, że raziła was nieco ta spuchnięta twarz Antka.

Ale mamy do was i wam podobnym, o co innego pretensje, że nie zrozumieliście głębokiego sensu festiwalu, że nie zrozumieliście słów wypowiadanych na scenie przez ludzi, którzy w swym życiu nie byli nigdy w prawdziwym teatrze.

Mamy do was pretensje, że nie spostrzegliście tego nowego radosnego życia bijącego z każdego słowa wypowiadanego na scenie, bijącego z każdej postaci chłopa czy chłopki z nowej wsi, wsi kroczącej milowymi krokami do lepszego szczęśliwszego jutra.

Gopinski Zbigniew

»BŁAŻKA OPĘTANEGO«

do wzięcia udziału w przedstawieniach.

Mieliśmy więc tę upragnioną salę. Nie była ona wykwitna, ale obieliliśmy ją pięknie, poczem ubraliśmy zielenią, więc przedstawiała dość miły dla oka wygląd. Była o tyle niewygodną, że miała kształt kwadratowy 7x7 m i scena zabierała dużo miejsca, najważniejsze jednak — że spełniała swoje zadanie — bo zawsze nazywało się, że jest we wsi teatr, a w innych wsiach tego nie było.

Gdyśmy już mieli zapewnioną salę, rozpisałem wspólnie z Michiną role w zeszytach, po czym zwołałem zebranie osób, które miały występować w tej sztuce, rozdaliśmy role i rozpoczęły się próby. Początkowo, próby odbywały się u mnie w domu, z chwilą zbudowania sceny, odbywaliśmy je na scenie... Trzeba było podziwiać poświęcenie niektórych aktorów, mieszkających 4—5 km od „teatru“, że nie zważając na deszcz, błoto, śnieżne zaspy i mrozy, przychodzili na próby, byle tylko dać innym trochę radości, miłej rozrywki, a może i nieco oświaty. Trzeba dodać, że ci, którzy mieli najdalej, jak np. Michina, Suder, byli też najstarszymi z zespołu (ok. 35 lat), byli żonatymi, mieli gospodarstwa, a tym samym dość zajęć, jednak nie dbali na trud i bezinteresownie — (boć nikt nic nikomu nie płacił), brali udział w próbach i przedstawieniach, bowiem odczuwali potrzebę pracy społecznej i kulturalnej dla wsi. Gdy wspomnę one czasy z 1923 r. i porównam je z dzisiejszą dobą, to z radością muszę stwierdzić, że wieś w porównaniu z ówczesną ciemnotą i zacofaniem, podniosła się co najmniej o 50 proc.

Ale wracam do tematu. Po dwudziestu dniach nauki, gdy aktorzy opanowali pamięciowo swe role, nauczyli się odpowiednio wymawiać i mimiką podkreślać mowę, rozlepiliśmy po wsi i przy kościele afisze, głoszące, że w niedzielę po nieszporach „zespół amatorski“ odegra w sali na „organistówce“ utwór sceniczny „Błażek opętany“. W całej parafii zawrzało jak w ulu. Co to będzie? Jak to będą grać? Co to za „Błażek opętany“? Pytano i dowiadywano się, ludzie bowiem do teatru nigdy nie chodzili, chyba ci, co przy wojsku służyli (jeśli mieli okazję), a w Zakliczynie, odkąd świat światem, przedstawienia nie było, a jedyną rozrywką, była pijatyka w karczmie, lub wesele, czy chrzciny.

Było się więc czemu dziwić. „Przedstawienie“! Co to będzie? Jakoż po nieszporach zwaliła się taka ćma ludzi, że ani połowa nie zmieściła się do naszego teatru. Każdy chciał widzieć „przedstawienie“, zwłaszcza, że proboszcz z ambony zachęcił ludzi do pójścia. W owym czasie proboszcz był najwyższym autorytetem na wsi.

Nikt wówczas o zespół amatorski nie dbał, nikt z pomocą nie przyszedł, więc siłą rzeczy do niego zwracano się o pomoc i finansowe poparcie.

Wracam do owego historycznego dnia, w którym odegraliśmy pierwszą sztukę w „teatrze“ w Zakliczynie, (druga niedziela października 1923 r.). Dzień ten był wielkim sukcesem dla „zespołu“ nie tylko dlatego, że o miejsca niemal boje toczono, nie dlatego, że połowa ludzi odeszła z niczym, zapewniona przeze mnie, że w następną niedzielę powtórzymy przedstawienie, ale przede wszystkim dlatego, że występ się udał wszystkim, aktorzy odtworzyli swe role znakomicie, o czym świadczyły rzęsiste oklaski i pochwała nauczycielstwa, które gremialnie stawiło się na przedstawienie.

„Błażka opętanego“ graliśmy jeszcze przez trzy następne niedziele, a zawsze przy natłoczonej sali, gdyż wszyscy chcieli widzieć „Błażka“.

Za zebrane pieniądze z przedstawień, zakupiliśmy kilka sztuk teatralnych, uzupełniliśmy braki w urządzeniu sceny, oraz trochę dekoracji. Dochody były małe, gdyż nie chodziło nam o zarobek, lecz o popularyzację przedstawień i szerzenie kultury. Byliśmy zadowoleni, gdy zwróciły się koszty związane z urządzeniem przedstawienia, o pieniądze nikt nie dbał, zwłaszcza, że ludzie tu biedni... W późniejszej fazie za zebrane pieniądze kupowaliśmy biednym dzieciom obuwie.

Tegoż roku (1923), w okresie świąt Bożego Narodzenia graliśmy dwukrotnie „Jasełka“, a w karnawale 1924 r. sztukę II aktową „Janek doktorem“, a widzów mieliśmy zawsze tłumy, co dodawało zespołowi bodźca, do wytężonej pracy i nauki, gdyż widzieliśmy, że ludzie zasmakowali i pragną tej rozrywki. Z nadejściem wiosny i lata przerwaliśmy działalność „zespołu“, gdyż każdy z aktorów miał rolę, lecz niepisaną, na której rosło zboże i okopowe, trzeba więc było pracować, by mieć chleb w zimie i czas na urządzanie przedstawień.

Dopiero w jesieni odegraliśmy kilka utworów, między in. „Zrękowiny u Druzgały“, a na 29 listopada utwór „Marsz marsz Dąbrowski“, w święta zaś „Jasełka“.

W karnawale 1925 r. zespół w zmienionym składzie — kilku aktorów ubyło z powodu zmiany miejsca zamieszkania — odegrał „Adama i Ewę“ oraz „Janek Doktorem“, po czym i ja opuściłem wieś powołany do służby wojskowej (21.III). Dalszego prowadzenia zespołu, nikt się nie podjął i wszystko rozleciało się.

Po powrocie z wojska — październik 1926 — podjąłem na nowo pracę nad zlepieniem zespołu (z początkiem 1927 r.). W tym samym czasie powstała na nowo w Zakliczynie — rozbita w czasie wojny — „Ochotnicza Straż Pożarna“. Wpisałem się i ja do tej organizacji, wybrano mnie dowódcą oddziału, z którym miałem przeprowadzić musztrę i ćwiczenia. Uzupełniłem „zespół“ amatorski strażakami, wpisując młodszych i nadających się do tego i w ten sposób skleiłem nowy „zespół“ w sile 16 osób obojga płci.

Od tego czasu „zespół“ wciągnięty w skład O.S.P. pracował jako „sekcja“ oświatowa Ochotniczej Straży Pożarnej w Zakliczynie. Cieszyłem się z tego, gdyż zespół miał nowy cel dla swych poczynań, mianowicie: fundusze z przedstawień obracano na potrzeby straży, a potrzeb tych było bardzo wiele.

W jesieni (1927) już jako „zespół strażacki“ odegraliśmy kilka

(dokończenie na str. 4)

ZACZĘŁO SIĘ OD „BŁAŻKA OPĘTANEGO"

(dokończenie ze str. 3-ciej)

przedstawień, jak: „W karczmie pod sroką", „Potrójna narzeczona", „Czartowska ława", powtórzyliśmy „Błażka opętanego", a dochód poszedł na sprzęt strażacki. Ulepszyliśmy w miarę możliwości „scenę", kupiliśmy „kurtynę", gdyż dotąd używaliśmy koców, lub prześcieradeł. Oczywiście zespół nasz nie miał do rozporządzenia urządzeń, dekoracji, czy kostiumów, jakie mają teatry w miastach. Wszystko, począwszy od sceny, a skończywszy na charakteryzacji, było prymitywne, aktor musiał sam zrobić sobie odpowiedni kostium, sadzy lub ołówka używało się do charakteryzacji, dekoracje malowano kredkami, wapnem, sadzą itp., tak samo afisze. Programu nie było, w zamian za to wychodziłem na chwilę przed przedstawieniem i stanąwszy przed kurtyną opowiadałem króciutko treść granej sztuki, by widzowie lepiej mogli ją zrozumieć. W każdej niemal sztuce granej przez nasz zespół odtwarzałem — a i żona moja również — trudniejsze role a równocześnie kierowałem innymi aktorami... Namęczyłem się też solidnie przy tym — lecz nie było innej rady, — gdyż nikt nie chciał mnie zastąpić w kierowaniu przedstawieniem.

Mimo tych trudności i mimo, że praca w zespole tak mnie jak i żonie zabierała dużo czasu, nie pomyśleliśmy nawet o tym, by ją porzucić. Pragnąłem prowadzić rozpoczęte dzieło tak długo, żeby o własnych siłach mogło trwać, z pożytkiem dla wsi — choć nieraz doznawałem różnych przykrości i niejednokrotnie drwiono i szydzono z nas, że zamiast pilnować domu, dzieci i gospodarstwa — my — to jest ja i żona — bawimy się w aktorów, wygłupiamy się itp. Nie zważałem na te docinki, nie opuszczałem rąk, lecz pracowałem — a z jakim nierzadko mozołem, by wydobyć z aktora maksimum umiejętności, by rolę swą opanował, wczuł się w nią i dobrze zagrał. Ileż razy — przy zwracaniu uwagi grającemu — że ten ruch nie wyraża dobrze myśli zawartej w sztuce, lub — ten wyraz źle wymówiony — nie zaakcentowany, czy — to melodia fałszywie zaśpiewana — spotykałem się z uporem grającego, że nie będzie poprawiał, lub obraził się i w końcu musiałem godzić się z tym co było, gdyż inaczej straciłbym aktora.

Wszyscy bowiem w zespole, byli amatorami — ochotnikami, grali bezinteresownie, nikt im nie płacił za czas stracony, trud i zdarte nieraz obuwie. Jedynie po przedstawieniu, otrzymywali aktorzy posiłek, (bułka z wędliną i szklankę piwa), co było nieodzowne, jeżeli wziąć pod uwagę, że przedstawienie trwało dwie i więcej godzin, a aktorzy już od pierwszej po południu, przychodzili na generalną próbę, (na którą przychodziła dziatwa do 15 lat za połowę, lub mniejszą opłatą), więc aktorzy od południa do 8-ej, czy 9-ej wieczór, byli naprawdę głodni i wyczerpani.

Który z aktorów zauważył, że nie byłem zadowolony z niego, czuł się wielce obrażony i zaraz chciał oddawać „rolę".

Skutki pracy naszego „zespołu" nie dały na siebie długo czekać. Mieszkańcy naszej i sąsiedniej wsi, chętnie uczestniczyli w przedstawieniach, które dawały im temat do rozmów przez cały dzień. Ale były jeszcze i inne dowody, że dobrze się stało, iż — zawiązaliśmy „zespół". Bo oto sąsiednie wsie, jak: Siepraw, Czechówka, Stojanice, tworzą u siebie zespoły teatralne, by tamtejsza ludność miała we własnej wsi „teatr". Siepraw buduje „Dom Ludowy" z wielką salą i sceną do przedstawień. W Czechówce i Stojanicach urządzają przedstawienia w salach szkolnych.

W Sieprawiu „zespół" był najsilniejszy liczebnie (ok. 30 aktorów) i przedstawienia urządzano często, a to, że „zespół trzymał się i rósł na sile, przypisać należy temu, że mieli własną salę i scenę, mieli „dom", podczas gdy inne zespoły zależały od „widzi mi się" danego zarządcy domu, gdzie odbywało się przedstawienie.

W 1930 roku nie było tłoku na sali w czasie przedstawień, jak w latach poprzednich. Pytałem tego i owego, dlaczego nie byłeś na przedstawieniu? Ha!, mówią mi, nie ma forsy, pilniejsze inne potrzeby, niż przedstawienie. Frekwencja wyraźnie malała. Raz tylko był tłok, jak nigdy, gdyż tak się złożyło, że zespół miał odegrać nową sztukę: „Kozłowickie Sherloki Holmesy", gdy wtem na ten sam dzień, na dwie godziny przed „seansem" ogłoszono wielki wiec. Zjechało trzech przedstawicieli („naganiaczy" jak się ich nazywało), ówczesnego B. B. W. R. i w naszej sali, ze sceny, poczęli wygłaszać płomienne mowy, zachęcając ludność do głosowania na listę Nr 1.

Ludność na ogół nie była wyrobiona politycznie, lecz ciążyła do ludowców, wyśmiała więc i wydrwiła „tych bebesynów" (jak zwano B.B.W.R.) tak dalece, że za godzinę już ich nie było, a „jedynek", które zostawili, użył zespół w czasie przedstawienia, do różnych „psich figlów". Było to nadprogramowe, lecz jakże pocieszne wyglądał „Domin" (ułomna postać z utworu „Sherloki") oblepiony jedynkami na całym odzieniu... Umiał zaś tak nimi manipulować, że publiczność szalała z uciechy. Biedak omal nie dostał się potem do kozy, gdyż ktoś „usłużny" doniósł o tym, lecz jakoś mu uszło.

Ucierpiał na tym i zespół, gdyż później nie chciano udzielać zezwoleń na przedstawienia i z trudem je otrzymywaliśmy.

W 1931 roku zawiązał jeden z tych „Bebesynów" sławnego „Strzelca" odbierając mojemu „zespołowi" kilku zdolnych aktorów, którzy skuszeni obietnicami owego „bebechowca" — (umiał zachęcić wódką, papierosami, nadskakiwaniem), zapisali się do „Strzelca". Oczywiście „Strzelec" i twórca jego, byli wyróżniani i wszędzie mieli znaczenie, toteż wkrótce dali się we znaki zespołowi amatorskiemu. Nie długo trwało, a zaczęli urządzać zabawy i przedstawienia w dość dużej sali, zbudowanej przy domu owego komendanta „Strzelca" — (bo po zawiązaniu „Strzelca", twórca jego otrzymał nominację na komendanta), a zyski z tych imprez zgarniał oczywiście „komendant".

Natomiast mój zespół, począł się mi rozlatywać, ciągnięto moich aktorów do „Strzelca". Na domiar złego „sala", w której mój zespół urządzał przedstawienia, nie remontowana od szeregu lat — (zaciekał dach, powały gniły i niebezpiecznie obniżały się) — runęła wraz z powałą i dachem. Na próżno niejednokrotnie wnosiłem prośbę do Komitetu parafialnego, który był kompetentny w tej sprawie ,o podjęcie remontu sali. Komitet wzruszał ramionami i mówił, że sali używa „straż" do swych celów", niech więc remontuje. Straż znów, na moją interpelację odpowiedziała, że nie może inwestować w salę pieniędzy, gdyż ta jest własnością parafii, a zgody na wspólny wysiłek i koszt nie było. Komitet zwalał na straż, a ta odwrotnie, budynek zaś nie czekał i zwalił się. Był to straszny cios, dla „zespołu", gdyż budynek rozebrano, a zespół utracił „dach".

Z chwilą zburzenia sali, życie zespołu zostało przekreślone z wielką szkodą dla wsi, gdyż bądź co bądź, praca oświatowa „zespołu", przyniosła i dała niejakie rezultaty, choćby te, że pobudziliśmy inne wsie do podjęcia podobnych imprez, do tworzenia zespołów — wieś poczęła zwalczać ciemnotę i zacofanie.

Nie dałem jednak za wygraną i podjąłem nowe zabiegi, by nie dopuścić do rozpadnięcia się mojego zespołu. Zwróciłem się do Kierownictwa Szkoły w Zakliczynie i uzyskałem pozwolenie na urządzanie przedstawień w nowym budynku szkolnym.

Znajdowała się w nim duża sala (9x5 m) i mimo szykan i przeszkód ze strony „Strzelca" (że w sali szkolnej nie wolno urządzać przedstawień), wystarawszy się o pozwolenie i uzupełniwszy braki w zespole, przyjęciem nowych „amatorów", poczęliśmy urządzać przedstawienia z tym, — że dochód z jednego obracaliśmy na straż, a z drugiego na bibliotekę szkolną.

Na nowym miejscu „zespół" pracował około dwu lat, dając szereg przedstawień i urządzając akademie, gdy zdarzył się niemiły wypadek, który na zawsze wyrugował zespół z tej, z takim trudem uzyskanej sali i uniemożliwił korzystanie z niej.

Oto w czasie jednego (i ostatnego już) przedstawienia, nie wykryci sprawcy, złodzieje, zakradli się do innej sali szkolnej, gdzie stały szafy z pomocami i przyborami szkolnymi i wyłamawszy drzwi do jednej, w której mieścił się sklepik, skradli większą ilość piór, ołówków, zeszytów i innych przedmiotów. Nazajutrz nauczycielka spostrzegła kradzież, doniosła o tym policji, było śledztwo i dużo szumu, sprawców nie odkryto, straż musiała wyrównać straty (które nie były wielkie) i musiała zrezygnować z urządzania w szkole przedstawień.

Były poszlaki, że grabież umyślnie sfingowano, by odebrać zespołowi salę, gdyż ten przeszkadzał „Strzelcowi", jednak nie można było tego dowieść.

Tak więc z końcem 1933 r. zespół utracił ostatnią „ostoję". Nie było już gdzie urządzić przedstawienia, nie mieliśmy gruntu pod nogami i zespół rozpadł się. Żal wielki mnie ogarnął, bo miałem na ówczas około 20 osób wyrobionych, zgranych, na których można było polegać, nie obawiali się najcięższych ról.

Wprawdzie trudnych i zawiłych sztuk nie graliśmy, przeważały komedie, farsy, intermedia uciesz-sne, bo ludność takie rzeczy chwaliła, gdy było dużo wesołości i śmiechu.

Gdy nasz strażacki „zespół amatorski" przestał istnieć za sprawą „zespołu Strzelca", który przez kilka lat następnych rej wodził we wsi, gdy jeszcze w dodatku Koło Młodzieży — złączono ze Strzelcem — widząc, że moja działalność skończona, z przykrością i żalem usunąłem się i wycofałem z życia społecznego wsi, usunąłem się również ze straży, gdyż znieść nie mogłem, że ludzie jednej gromady, zamiast wspólnie pracować dla jej dobra, szykanowali się wzajem, rozbijali wszelką inicjatywę, każdy szlachetny wysiłek czy myśl zohydzali i na każdym kroku jedna organizacja starała się szkodzić drugiej.

Takiej rozbijackiej i demagogicznej roboty, nie uznawałem i usunąłem się od pracy społecznej — zajmując się wyłącznie swoim gospodarstwem.

JÓZEF FIREK

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

WIERSZE O KOMUNIE PARYSKIEJ

INTRODUKCJA

Kiedy się domy walą w gruzy
Kiedy ruiny są jak wdowy,
Wtedy wśród ruin błądzą muzy
To muzy przyszłej odbudowy.

Gdy w proch runęłaś na ulicach
Pod latarń trwożnym migotaniem,
Już wtedy muza gniewnolica
Widziała twoje zmartychwstanie.

Sądziłaś, że już siwa Parka
Chłodem swych nożyc cię zabiła,
Lecz muza fabryk w twoich [parkach
Nowy czerwony sztandar szyła.

Błądząc po krwawych twych [przedmieściach
Gdzie zastygł w górze grom [barykad,
Ona i męska i niewieścia
Grała ci przyszłość jak muzyka.

W fabrycznych dzieci oczy zgasłe,
Co niby drzemią, lecz nie drzemią,
Płomiennym zaglądałaś hasłem,
Wzlotem wysokich dni nad ziemią,

Komuno, wtedy już wiedziałaś,
Że żadna cię nie zwali klęska,
Z sandałów bowiem nie ścierałaś
Ziemi, do łez, do reszty — ziemska.

ZBURZENIE KOLUMNY VENDOME 16 MAJA 1871 R.

Jej czoło w chmurach, imię — [dumne,
Wzlot ciemny i zuchwały
Komuna burzy tę kolumnę
Napoleońskiej chwały.

Jak metalowy wróg pobity,
Runęła na kolana.
Z nią 1200 dział zdobytych,
Z których była odlana.

Nie orły, lecz paryskie wróble
Z jej szczytu przeleciały
Na dach, gdzie obłok lśni obłudnie
Jakoś fałszywie biały.

Runęła i jej każde włókno
Rozbiły serc pociski,
Podciął drapieżną jej wysmukłość
Kanciasty lud paryski.

Bo nie na placu ona stała,
Nie na paryskim pyle,
Lecz na żołnierskich martwych [ciałach,
Na bratniej ich mogile.

A gdy runęła w proch zuchwałą
Smukłością do stóp wnuków,
To nie kolumna — to leżało
Cesarstwo już na bruku.

BALLADA O GENERALE WALERYM WRÓBLEWSKIM

Motto: W inną Polskę niż ta, którą lud nasz pracowitymi rękoma z grobu podźwignie — nie wierzę.
Walery Wróblewski

Niebo Paryża jak wojna,
Całe w płomieniach i w dymach,
Fort Issy się nie poddaje,
Front Issy jeszcze się trzyma
Cztery ataki odpiera
Wróblewski — bitny generał.

On, który broni fortów
Z rewolucyjnym wojskiem,
Choć noc wróży rychłą klęskę,
Wierzy w Komunę, jak w Polskę,
Którą ludowe siły
Podźwignął do życia z mogiły.

Już nieuchronna klęska
Jak ciemne widmo się zbliża.
Wdzierają się wersalczycy
Przez bramę Saint-Cloud do [Paryża.
Jak lew, kulami przeszyty,
Padł Montmartre przez nich [zdobyty.
Wróblewski cało uchodzi
Ze swym oddziałem po gruzach
I z nowym planem walki
Zjawia się u Delescluse'a:
„Stoczyć bój niespodziany
Na lewym brzegu Sekwany."

Wróblewski jeszcze chce walczyć,
Wróblewski jeszcze się łudzi:
„Czy dasz, obywatelu,
Choć tysiąc walecznych ludzi?"
Delescluse odpowie z żalem
„Mam trzystu ich, generale..."

Majowa noc jest jak ogród,
Cały w żałobnych kwiatach.
Pijani krwią wersalczycy
Znów przypuszczają atak.
Padając na most Austerlitzki,
Świszczą wersalskie pociski.

Majowa noc jest jak cmentarz
Lecz w sercu męstwo i hart.
Ostatnia barykada
Na placu Joanny d'Arc!
Domy i drzewa płoną,
Wróblewski kieruje obroną...

Pod murem federatów
Wróblewski w grobie leży,
Choć padła Komuna Paryska,
On w nią jak w Polskę wierzył,
W ludową, pełną siły
Podźwigniętą z mogiły.

LISTY JAROSŁAWA DĄBROWSKIEGO

Gdy nad Paryżem groźnym [cieniem
Buldogonosy rośnie Bismarck,
Dąbrowski pisze. Jak płomienie
Płoną litery w jego pismach.

Oto horyzont coraz dalszy
Otwiera mu się przed oczyma:
On chce za lud francuski walczyć,
Jak broń on pióro w ręce trzyma.

Gdy gniew, jak owoc, w nim [dojrzewa,
Marsyliankowy i czerwony,
Ze słów on działa już odlewa,
Ze słów formuje bataliony.

Przydając karnym słów szeregom
Mądrość stratega — komunarda,
On pisze do Garibaldiego,
Że go porywa walka twarda.

I ostro krytykując Thiersa,
Który chce Paryż poddać [Niemcom,
On, jakby okno ktoś otwierał,
Otwiera w liście swym zwycięstwo.

On nie chce siedzieć tu bezczynnie,
Lecz z ludem iść i walczyć dalej
I w dziejach, jak melodia [w hymnie,
Należne sobie miejsce znaleźć.

Już świt na Paryż schodzi blady,
Już latarnicy światła gaszą
I słychać w gromach kanonady:
„Za naszą wolność i za waszą!"

DUMA O ŚMIERCI JAROSŁAWA DĄBROWSKIEGO

Nie dla laurów, nie dla nagrody,
Nie dla czczej, zuchwałej [przygody,
Kiedy na wierzch go burza [wyniosła,
Walczył tutaj Dąbrowski Jarosław.

Lud warszawski, czy lud paryski,
Jednakowo sercu był bliski.
On w Paryżu o Polskę Ludową
Walczył, usta zaciąwszy surowo.

Jego serce zdradzać nie umie,
Do ostatka wierne Komunie
I jak Wisłą od wierzb rozpłakana
Lśni mu łuną pożarów Sekwana.

Wielkie serce mężne jak szpada,
Nieugięte, jak barykada
A gorące jak wystrzał [z moździerza,
Jednym rytmem z Komuną uderza.

Wersalczycy już na Montmartrze,
Lecz ma Montmartre w sercu tym [tarczę.
I odpiera ataki wersalskie,
Podejmując nierówną walkę.

A gdy z polskim wiatrem we [włosach
Padł od błędnej kuli Jarosław,
Szepnął: „Serce na wielki tu [kładę...
Bo i z serc można wznieść [barykadę.

Niech żałobą was nie ocienia,
Moje życie nie ma znaczenia.
Choć śmierć szpadę z rąk mi [wytrąca,
O republikę walczcie do końca!"

Komunardzi odważni płaczą
Nad Polaka śmiercią tułaczą,
Ulicami Paryża żałobny
Sunie kondukt, do chmury [podobny.

I na wielkim placu Bastylii
Każdy czoło przed trumną chyli
I z pochodni czerwieńszych od [zorzy
Lud paryski kaplicę utworzył.

Tak Dąbrowski — komunard [Polak,
O Republikę walcząc, poległ.

PIOSENKA O CHLEBIE KOMUNY PARYSKIEJ

Walką paryski nasiąkł trotuar
Z groźnych barykad szeregiem.
Chleb zajadając strzelał komunard.
Spoza kamieni i cegieł.

Strzelał i myślał, patrząc na dymy,
Które się snuły po placu:
„O chleb i szczęście ludzkie [walczymy,
Oni — o zbytek pałaców..."

Pułki wersalskie w zwartych [szeregach
Ku barykadzie pobiegły.
Poległ komunard, niedojadł chleba
I leżał chleb przy poległym.

A obok, cały w łunach pożogi,
Stał pałac na kształt olbrzyma
I patrzył pałac na chleb ubogich
Wrogimi okien oczyma.

MURY PARYSKIE MAJĄ GŁOS

Powiadasz, że te mury milczą, jak kamienie,
Pełne kurzu i ciszy,
Lecz wsłuchaj się w zawzięte, twarde ich milczenie
A gniewny głos usłyszysz.

Słyszysz! Gdy strajkujący lud, jak ciemne chmury,
Z bulwarów się wyłania.
Wtedy jak gorzkie chóry grzmią paryskie mury,
Chórowi chór oddzwania!

I pamięć, jak fabryczna wychudła dziewczyna,
Staje pod każdym murem.
To pamięć dawnej rzezi. Ona rzeź wspomina
I pieśń podaje chórom.

Śpiewają mury: „Tutaj pod ciosami Thiersa,
Rażony salw piorunem,
Paryski lud jak tytan walczył i umierał
Za wolność, za Komunę.

Gdzie cień, jak czarna wstęga, legł pod starą ścianą,
Którą wilgoć okryła,
Po trzystu ludzi naraz tu rozstrzeliwano,
Ta cisza — ich mogiła.

I zdarza się, że chmura lub ptak albo woda
Czerniącej się Sekwany
Deszczem, lotem lub szumem śmierć męczeńską odda,
Odda jęki i rany.

Lecz gdy śmiercią i męką przemawiały do nich
Mitraliez groźne gardła,
Wraz z ostatnim oddechem wyrzucali oni:
„Komuna nie umarła!"

KOMUNA NIE ZGINĘŁA!

Jest szeroka kraina, gdzie wiatry północy
Są jak mknące po stepie rozwierzgane konie,
Gdzie jeśli pieśń zadźwięczy, to pieśń pełna mocy,
Gdzie jeśli serce płonie, to potężnie płonie.
Tam Newa srebronołuska, tam Jenisiej płynie,
Tam wodną grzywą trzęsie Dniepr — kobzarska rzeka.
Ale posłuszne woli prostego człowieka
Te wiatry i te rzeki są podobne glinie,
Którą człowiek ulepi według swoich pragnień::
Rzeki skieruje wyżej, wiatry niżej nagnie.

Ta szeroka kraina — to radziecka ziemia,
Gdzie człowiek się codziennie w tytana przemienia
I na miarę swych stepów w walce najzaciętszej,
Jak wicher — dal, rozszerza ludzkie swoje wnętrze
Rozkaże — i urodzaj zwiększy się w dwójnasób,
Rozkaże — i na stepach masz szczecinę lasów.
On zmieniając klimaty na rodzimej ziemi,
Klimat ludzkiego serca w gorętszy przemieni

Gdy ktokolwiek po klęsce Komuny Paryskiej
Mógł powiedzieć, rozpaczy lub obłędu bliski,
Że Komuna umarła pod ciosami miecza,
Ta szeroka kraina słowom tym zaprzecza!
Tu wysokich kominów nieznużone gardła
Wołają w świt: „Komuna żyje! Nie umarła!"
Tu każdy kłos, podając sierpom złotą szyję,
Dojrzałym ziarnem woła, że Komuna żyje!
Grzmi ruda syberyjska, woła stal i węgiel:
„Komuna nie umarła, lecz rośnie w potęgę!"
Ręka, co na traktoru sterze się oparła
Każdym palcem i żyłą mówi: „Nie umarła!"
„Nie umarła!" — wołały stalingradzkie działa,
W których huku Komuna zwycięstwem zagrzmiała!

Komuna nie umarła! Bo czy świt umiera,
Gdy go przesłoni ciemność, niewidoma, mglista?
Po nocy on płomienne wrota znów otwiera.
Ciemność mówi „on umarł". Patrzysz on zmartwychwstał
Komuna zmartwychwstała w radzieckiej krainie,
W jej ludziach i w jej pracy, w miastach niezliczonych,
W wodzu mas robotniczych, co ma dumne imię
I po nocach na Kremlu czuwa za miliony.

Komuna zmartwychwstała w sztandarów szeleście
W Pradze Czeskiej, w Warszawie, w Sofii, w Budapeszcie,
W Republikach Ludowych grzmi jej krok zwycięski
I w sercach robotników całej kuli ziemskiej.

Polski murarz, co z ruin podźwignął Warszawę,
Polski górnik, co w węglu rzeźbi los człowieka,
Rolnik, włókniarz, kolejarz, stolarz — wszyscy oni,
Ludzie o dobrym sercu i o dobrej dłoni,
Którym przyszło tak długo na socjalizm czekać
Pośród nocy i wichrów, w faszyzmu piorunach —
Zaświadczają swą pracą, że żyje Komuna!

Wielka ziemia Kościuszków, Dąbrowskich, Wróblewskich,
Piękna ziemia mężnego, jak prawda, Waltera
Woła wśród pól kujawskich, wśród pól mazowieckich:
„Komuna nie umarła! Dobroć nie umiera!"

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

Portrety byłych fornali w Łękińsku

(do artykułu obok)

TADEUSZ SZEWERA

CZTERY REFORMY

(Wyróżniona praca konkursowa)

W Łękińsku byłem nie po raz pierwszy. Zaglądam tutaj prawie co roku i za każdym razem zastaję coś nowego, spostrzegam nowe zmiany. Nie mam tu na myśli wsi. Nie. Chodzi mi o serce Łękińska, dawny dwór dziedzica barona Kronenberga, gdzie gromada dawnych robotników rolnych w codziennej swej pracy pisze swoją historię.

Do Łękińska trafiłbym choćby, jak to się mówi „po nocy". Nic nie jest tu mi obce. Znam każdy kamień przydrożny, wiem co będzie za mijanym zakrętem, wiem kiedy wpadniemy w zwykłą, pospolitą dziurę, której załataniem w piaszczystej drodze nikt się nie zajmował dotychczas.

Jedziemy piaszczystą, leśną drogą. Wije się ona skrętami pomiędzy przetrzebionym lasem. To już dawne włości Kronenberga. Tu przyjeżdżał na polowania przynajmniej raz w roku, lub też może — jak niektórzy twierdzą — zaglądał do Łękińska, bo mu się nudziło na Kujawach.

Jeszcze dwa ostre zakręty i młyn. Przez mostek na Widawce jedziemy wolno. Na środku nie załatana dziura. Woda na Widawce spiętrzona, bo przed chwilą spadła z młyńskiego koła. Dobre miejsce wybrał sobie młynarz. Chłopi z okolicznych wsi muszą przyjeżdżać do niego. Stoi teraz w drzwiach młyna, w przyprószonym na biało mąką ubraniu i zastanawia się gdzie jedziemy i po co.

Przed młynem chuda, biedna, chłopska szkapina pogryza sieczkę. Na wozie jeden jedyny worek. Widać właściciel tego worka zboża, na nie wielu morgach gospodarzy.

Łękińsko. Tuż przy wjeździe do wsi kościół i duży, na żółto malowany budynek. Plebania. Dalej wzdłuż drogi rozsiadły się murowane, kryte blachą i dachówką domy gospodarskie wraz z zabudowaniami. Widać też niskie, kryte strzechą chałupy najbiedniejszych. Półtora-hektarowców.

Droga się rozwidla. Na lewo biegną dalej zabudowania wiejskie, na prawo jedzie się do dworu, który i tym razem jest celem naszej wędrówki. Dlatego naszej, że chciałbym ją odbyć tym razem wespół z czytelnikiem.

W ciągu czterech lat po wyzwoleniu narastały w Łękińsku wydarzenia, które miały duże znaczenie dla życia wsi i dla jej społeczno-gospodarczych dziejów. Można by rzec — w ciągu tych czterech lat dokonały się w dawnym dworze, w dziejach gromady dawnych robotników rolnych cztery reformy. Powstały cztery nowe i różne karty w historii robotnika rolnego.

Przewędrujmy raz jeszcze piaszczystą drogą pomiędzy lasami. Przejdźmy jeszcze raz przez dziurawy mostek na Widawce koło młyna, który być może w życiu „dworusów" nie odegrał żadnej roli, bo nie było w nim co mleć, wejdźmy przez rozwaloną bramę do dworu i posłuchajmy powieści — dziejów jednej gromady dawnych dworskich ludzi, którzy w pracy swej znaleźli nową formę gospodarowania.

NA WŁASNE

Była wiosna 1945 roku. Po obu stronach drogi biegnącej przez Łękińsko zieleniły się już oziminy. To pola chłopskie. Na lewo od pól chłopskich, odcinał się szarością szmat ziemi dworskiej. Ale jakoś nie widziało się, jak zwykle jeszcze rok temu, na polach ludzi. Nie słyszało się pokrzykiwań wyjeżdżających do wiosennej orki fornali. Nikt z dworu nie wychodził w pole, by dokończyć siewów. Nie było na to czasu. Działy się ważniejsze sprawy. Przez Łękińsko przechodziła reforma rolna.

W chałupie Baksy w pobliskiej wsi Ławce, dokąd wygnali go ze dworu Niemcy, siedzieli teraz prawie wszyscy robotnicy dworscy i radzili. Był i Stefan Koza, Jan Bryła, przydreptał stary, 74-letni Musiak, przyszedł Stefek Grula. Przyszli całą gromadą na naradę, bo to dwory już zaczęli parcelować. Na Łękińsko też już niby kolej. A tu w komisji rolnej jak na urągowisko nie ma nikogo z dworskich. Ale jak tu przepuścić taką okazję pójścia „na własne". Kiedyś, tuż przed wojną, była taka okazja dochrapania się „własnego", kiedy Kronenberg rozprzedawać chciał majątek. Ludzie dworscy nie mogli wtedy kupić ziemi. Nie dorobili się na tyle we dworze. Tylko ci ze wsi zgłaszali ówczesnemu pełnomocnikowi Kronenberga chęć nabycia ziemi.

Wybuchła wojna i nie zdążono majątku rozprzedać. Ale teraz jest okazja dostania ziemi i to bez pieniędzy. I znowu ci ze wsi się wkręcili do komisji i znowu chcą zabrać ziemię dla siebie. Za darmo. Tego było już za wiele. Uradzili przeto, że pójdą całą gromadą na pole i będą łazić za tymi z komisji, aż ziemię dadzą. Po 10 hektarów na jednego. Byle mieć więcej od chłopów ze wsi. 220 hektarów to kawał ziemi. Resztę mogą dać wsiowym.

Poszli tedy fornale na pola dworskie do komisji. A tymczasem w izbach czworaków dworskich gromadziły się kobiety. Na pogwarki. Ważne sprawy działy się przecież. Niektóre leciały na pole i łaziły z chłopami. — Nie ustąpcie — gadały. — Nie dajcie się tym bogaczom ze wsi. — Po tym biegły do czworaków, by opowiedzieć innym, co się tam na polach dzieje.

— Własną zimię, własną... — śmiała się przez łzy 70-letnia Musiakowa. — Po tylu latach mordęgi na własne. O Jezu!.. — Ale zaraz z lękiem pytała: — Jak myślicie, Grulowa, dadzą nam tę zimię? Chłopy nasze chcą po 10 hechtarów. Tyli szmat zimi. O Jezu!

— A kto ich tam wie — odparła Grulowa, wyglądając przez okno. — W Komisyji są te wsiowe. Naszych nie chcą wziąć do siebie. Może i nie dadzą...

— Co znaczy nie dadzą — zaperzyła się Musiakowa. — Nasza ziemia czy nie nasza? Należy się nam? A bo co, może te ze wsi robiły we dworze? Zimi chcą, naszej zimi! Mało majom swojej...

— Widać im mało. Tak jest zawdy kiej kto ma dużo to chce wiencyj. Bogocze! — zawtórowała Musiakowej młoda Rozalinka

— Oj, żeby już dali mnij, to by i tak człowiek spokojnij umirał — użaliła się znowu Musiakowa. — Ale nasze chłopy nie powinni ustąpić. Na 10 hechtarów to my zarobili. 74 lata ma mój stary i we dworze od dziecka robił.

— Wszyscy na tę zimię zarobilim. Czas żeby mieć swojom. Prędzej człowiek dochrapie się czegoj i dzieckom będzie mógł dać... Chodźwa, powimy chłopom, żeby nie ustępowały...

Ale dawni dworscy ludzie nie ustępowali. Chodzili jak cień za komisją i spode łba patrzyli jak geometra odmierza ziemię. Na razie mierzyli dla wsiowych.

Przechodzili coraz dalej. Teraz już mierzyli koło dworu dla ludzi dworskich. Dawali im ziemię, ale po 5 hektarów. — Niech ta już będzie — mówił do Kozy Baksa. — Niech ino nam wymierzą tak w jednym kawałku, jednemu koło drugiego. Żeby nie rozrzucili nas pomiędzy wsiowymi.

— Co znaczy, niech ta już będzie — oburzał się w duchu Koza. — Zawdy to jakby człowiek dostał więcy, to galanciej by se gospodarzył.

Kozie wydawało się 5 hektarów za mało. Zawsze marzył o własnej ziemi. Choć, jak powiada, do śmierci tak nie będzie mieć jak miał za dziedzica „na gajowym", to jednak ilekroć patrzył na wieś, tyle razy marzyło mu się własne gospodarstwo i dorobek. Nie widział innej drogi dorobienia się, jak tylko na własnej gospodarce. Choćby trzeba było odjąć sobie od ust i dzieciom, choćby trzeba było zaharowywać się na śmierć od świtu do nocy, ale to przecież gospodarz. Już nikt wtedy nie powie na Kozę — dworus, wyrobnik. Będzie panem na swoim całą gębą, jak te ze wsi.

Prosta była filozofia Stefana Kozy. Robotnicy dawnego dworu zapatrzeni na sąsiadującą z nimi wieś, nie widzieli innej drogi dorobienia się, innej drogi awansu społecznego, drogi oderwania się od miana „dworusa" i wrośnięcia w społeczność wsi, jak tylko przez posiadanie własnego kawałka, choćby najgorszej ziemi. Tak było też i przy pierwszej reformie w Łękińsku. Przystali na ziemię najgorszą, przystali na 5 hektarów, przystali nawet na fakt doliczenia im przez komisję składającą się z chłopów wsiowych, kilku hektarów nieużytków. Przystali za cenę pójścia „na własne".

— Ciężko nam będzie z początku — mówili dawni robotnicy po powrocie do czworaków.

— Oj ciężko będzie, ciężko — powtarzała Musiakowa. — Żeby chociaż 10 dali. A tu tylko po 5 hechtarów...

Ale to ciężko miało przyjść na parcelantów nie dlatego, że otrzymali tylko po 5 hektarów i to ziemi najgorszej we dworze. Miało przyjść dlatego, że dwór był prawie w 100 procentach zniszczony, że nie było dobytku, narzędzi rolniczych, przy pomocy których obrobiliby nowe, własne gospodarki. Przecież ze wsi nie mogli spodziewać się pomocy, bo wieś patrzyła na nich z niechęcią. Wieś w porównaniu z „dworusami" to bogacze. A jednak...

MA SIĘ NA LEPSZE

Przechodzący w rok po reformie rolnej polami dworskimi, na których wycinano pamiętnej wiosny działki parcelacyjne dla dawnych 22 robotników rolnych, nie zwróciłby zapewne uwagi na drobny szczegół, który odegrał tak wielką rolę w dziejach gromady „dworusów" i który zaważył poważnie na losach tej gromady. Zwykłe, nieociosane, sosnowe kołki stały rzędem w miejscach, gdzie jeszcze rok temu wyorywano miedze. Miedzy już teraz nie było. Na ich miejscu wyrosły sosnowe kołki, symbol zmian, jakie zaszły w Łękińsku. Symbol drugiej reformy, a jednocześnie protest przeciw prostej filozofii Stefana Kozy. Przeciw pójściu „na własne".

Kiedy świeżo nadzieleni parcelanci ochłonęli z wrażenia po pierwszej reformie, trzeba już było zabierać się do roboty. Ziemia czekała na ziarno. Przyszła pora siewu i... rozpacz. Nie było czym obsiać, nie było czym obrobić gospodarstw. 22 rodziny żyjące dotychczas w kolektywie dworskim, stanęły przed faktem samodzielnego gospodarzenia. Słowa Musiakowej biadającej, że nie dadzą rady na 5 hektarach, sprawdziły się. Nie dlatego, że na pięciu, lecz dlatego, że nie było czym robić. Tak. Stwierdzili, iż nie dadzą rady.

I znowu jak wtedy, przy pierwszej reformie, zgromadzili się dawni robotnicy w chałupie Baksy. I uradzili. W pojedynkę nic nie zrobią, trzeba wziąć się razem do roboty. W spichrzu znaleźli trochę ziarna. I znowu ten sam problem. Dla wszystkich nie starczy. Trzeba wsiać w jednym kawałku. Wtedy to zapadła u Baksy doniosła decyzja. Zaorać miedze, kołkami oznaczyć poszczególne działki. Obsiać w jednym miejscu 16 hektarów żytem.

W ten sposób dokonała się druga w Łękińsku reforma. Dawni ludzie ze dworu podświadomie, mimo dążenia do własności, rzucili system gospodarzenia na „własnym". Rozpoczęli gospodarkę opartą na wyższej formie. Na zespołowości.

Gdyby po tej decyzji ktokolwiek bądź poszedł na dworskie pola, zaskoczony byłby widokiem jaki tam go oczekiwał. Na przedzie jechał postękując, dychawiczny, ledwie trzymający się kupy traktor, ciągnący pług. Za nim wlókł się jedyny, 27-letni „staruszek" koń, przystający co chwilę, bo było mu już ciężko nawet w zaprzęgu przy pługu jednoskibowym. A dalej ciągnęli się ludzie. Wpierali bose, stwardniałe stopy w świeżą, chłodną glebę i... ciągnęli brony. Jeszcze dziś, kiedy wracają myślami w tamte czasy dawni fornale, przypomina im się twardy rzemień, wrzynający się w plecy krwawymi pręgami. Ale wtedy nikt się z nich nad tym nie zastanawiał. Chodziło przecież o obsianie ziemi, o prawo do życia. O chleb.

Ze wsi nikt się nie ruszył by pomóc gromadzie 22 parcelantów. Ale za to w sklepiku Wojciecha Gęby gromadzili się chłopi i naradzali. Widzieli zmagania parcelantów i łudzili się, że nie dadzą oni rady. Cieszyli się. Bo przecież jak nie wytrzymają, to wieś weźmie ziemię.

W święto gromadziły się przed kościołem grupy chłopów ze wsi. Zaczepiali parcelantów uśmiechając się przy tym urągliwie. — No, jak tam wam się wiedzie. Koni to ta macie już sporo, bo kuźdy z wos dobrze ciągnie. Ale nie pociągniecie długo. Uśniecie, a nie wybrniecie z tej waszej biedy.

Ta bieda ciągnęła się do żniw. Przednówek przeżyli na samych ziemniakach, lecz nie ustępowali. Zaparli się w sobie. W żniwa wyszli wszyscy na pola. Zbiory zapowiadały się dobrze. Miało się na lepsze.

Po żniwach bogaci chłopi, a pod ich wpływem i cała wieś, patrzyła już na dworskich ludzi wrogo. Nie spełniły się przepowiednie, że nie dadzą rady, a co najważniejsze wysunęła się z rąk bogaczy okazja zdobycia ziemi, powiększenia swych gospodarstw, a kto wie czy nie uczynienia wtedy „dworusów" swoimi robotnikami.

A tymczasem we dworze miało się rzeczywiście na lepsze. Zboże sypało obficie, kartofle udały się doskonale. 164 metrów z hektara. Początek dobry. Zebrali się znowu u Baksy, jako że jemu powierzyli pieczę nad całością gospodarki. Naradzali się dość długo. Rezultatem było postanowienie. Zebrane zboże rozdzielić sprawiedliwie każdemu po jednakowej ilości, resztę co zostanie zachować do siewu jesiennego. Sprzedać 2 tysiące metrów ziemniaków spółdzielni, resztę znowu równomiernie rozdzielić pomiędzy 22 rodziny. Za uzyskane pieniądze kupić konie i krowy. Co zostanie pieniędzy przeznaczyć je do wspólnej kasy na nagłe wydatki.

Tak gospodarząc na jesieni 46 roku mieli już 5 koni. Z krowami było gorzej, ale jakoś i temu złu zaradzili. Kupowano po jednej, dobierając wysokomleczne. Nie chodziło przecież o to, by mieć krowę, co jest ambicją każdego chłopa ze wsi, ale chodziło o to by mieć mleko. Wkrótce przy żłobach stało 22 krowy. Żywiono je paszą ze wspólnej łąki.

W taki to sposób wspólna gospodarka dawała pierwsze, wspólne plony. Tak gospodarowali dworscy ludzie w „dzikiej spółdzielni".

Kiedy pod koniec roku spotkałem Stefana Kozę i zadałem mu zwykłe, pospolite pytanie — co słychać — ten wielki zwolennik własnej gospodarki podrapał się w głowę i z zakłopotaniem odpowiedział. — No, wesoło to nam nie jest. Ale i źle nie jest. Sami byśmy tak w pojedynkę nie zdzierżyli. A tak wszyscy to jakoś poradzimy. I chyba już tak zostaniemy w tej spólnocie, boć widać z każdym dniem, że mamy się na lepsze. Jak już raz biedę chwycilim za mordę, tak nie popuścimy.

— A wieś?...

— Niech tam — machnął ręką. — Ziemi nie oddamy i nie ustąpimy.

A PRZECIEŻ USTĄPILI

Od tamtego czasu minęło dwa lata. Gospodarka „dzikiej spółdzielni" rozrastała się, powiększała. Było już 12 koni, 44 krowy, każdy hodował świnie, kury, kaczki, w spichrzu zgromadził się pokaźny zapas zboża, w kopcach czekały zimy ziemniaki. Coraz lepiej powodziło się gromadzie dawnych dworskich robotników. A jednak...

Było jesienią 1948 roku. Zbliżała się pora siewów. Trzeba się było, jak to czynili dotychczas, zebrać na naradę by omówić plan dalszej gospodarki. Nie poszli już jednak do Baksy.

Złazili się wolno do stodoły i obsiadali klepisko. Patrzyli na siebie milcząc. Żaden nie chciał zacząć. Aż Koza nie wytrzymał i prawie wrzasnął w twarz Baksy. — Czego nic nie gadacie! Myślicie, że to wom pomoże. Rozbijom wom łeb jeszcze raz!

— A co będę gadał — mruknął od niechcenia Baksa. — Chcecie to się rozchodźcie. Ja tam bym nie ustępował.

— To nie ustępujcie! — żachnął się Motyka. — Ja dłużej nie wytrzymam. Jak mnie bili toście byli gdzie, hę? Pytam wos, dzieście byli?!

— Dejcie spokój, Motyka — mitygowali go inni. — Co się tu rozdzierać. Rozchodzimy się i już. Wytrzymałość człowieka tyż ma swe granice.

— Dobra. Rozchodzimy się. Ale siewy trza wykonać. — Podniósł się z klepiska Baksa. — Siać będziemy pasami, nie jak dotychczas łanami. Potem jak każdy pójdzie na swoje, to się wyorze miedzę. Nikogo się nie skrzywdzi. Będzie miał każdym z was w ten sposób kawałek żyta, ziemniaków i owsa.

Spojrzeli po sobie. Żal im było rzucać tej wspólnej gospodarki. A z drugiej strony — strach przed tym, co szło nie wiadomo skąd. Nikt nie próbował protestować. Trzecia reforma była postanowiona. „Dzika spółdzielnia" przestała istnieć.

Fakt rozwiązania się „dzikiej spółdzielni" zaskoczył mnie bardzo, jak i zaskoczył zapewne i czytelnika. Ale gdybym był w kilka miesięcy przed tym w Łękińsku, gdybym próbował przejść się z którymś z „dworusów" przez wieś, znalazłbym przyczynę powyższego faktu. I to nie jedną przyczynę a wiele przyczyn, które zmusiły ludzi dworskich do powrócenia „na własne".

Zaczęło się od tego, że wieść o tym, iż w Łękińsku gospodarzą wspólnie a do tego samorzutnie, rozeszła się na początku 1948 roku lotem błyskawicy. Do Łękińska zaczęli zjeżdżać przeróżni goście, a to z województwa, a to z powiatu, był nawet ktoś z jakiegoś ministerstwa, a każdy ciekawy, jak to gospodarzą parcelanci we wspólnocie. Jak to 22 rodziny ludzi, którym dano ziemię na własność, zdecydowało się na zespołową gospodarkę. Przyjeżdżali, oglądali, a na koniec obiecywali pomoc, bo to samo przez się zrozumiałe — pionierzy gospodarki kolektywnej — pierwsi spółdzielcy, nie mogą być osamotnieni. Obiecanki były nęcące. Parcelanci, prawie że już prawomocni „spółdzielcy" czuli się teraz mocniejsi i pewniejsi wobec wsi. A wieś tymczasem obserwowała.

Potem goście przestali przyjeżdżać, przestali obiecywać. Obiecanki zawiodły. Pokazały się natomiast inne jaskółki. Całą chmurą zjeżdżać poczęli dziennikarze. Zaglądali we wszystkie kąty, wypytywali, czasem też obiecywali. Do tych nowych przybyszów robotnicy dawnego dworu ustosunkowali się już nieufnie. Po co obiecują, skoro nikt, nawet organizacja partyjna, ówczesna PPS, nie przyszła im z pomocą.

Bomba pękła po referacie min. Minca. W tym czasie odwiedziny obcych gości już się skończyły. Ale zato Łękińskiem zaczęła się na dobre interesować wieś. U sklepikarza Gębali zbierali się co bogatsi. — Widzicie ich, „dworusów"! Kołchozu im się zachciewa. Damy wam kołchoz, aż wam bokami wyjdzie! — odgrażali się.

To miano „kołchoźników" przyrosło od tamtej pory do członków „dzikiej spółdzielni". Nie przeszli przez wieś, by nie usłyszeć szeptów wsiowych. — O idzie ten kołchoźnik — A niechby który z nich próbował podejść do wsiowego urobionego przez kułaków. Odwracał się ten pogardliwie, cedząc przez zęby: — nie gadam z zaprzańcami, kołchoźnikami.

Między wsią a dawnym dworem wzrosła nienawiść. Ukryta dawniej walka klasowa uzewnętrzniała się w nadchodzących wypadkach. Dworscy ludzie poczęli oglądać się jeden na drugiego. Ale jeszcze nie ustępowali. Nie zastraszył ich fakt, że któregoś ranka znaleźli na dziedzińcu pisane ręcznie ulotki — „skończcie z kołchozem, bo będzie źle". Pogróżki, którymi próbował zastrzaszyć dawnych robotników rolnych wróg ukryty, wróg klasowy, nie były aż tak groźne by ustępować, by wyrzekać się tego, co przez tyle lat w wspólnej pracy zostało zbudowane. Nie przerazili się też, gdy obiegła wiadomość o zabiciu Gazdy, tego chłopa, co to był w 1945 roku w komisji ziemskiej parcelacyjnej, ani o zastrzeleniu wójta. To były wypadki, które jednak ich tak bezpośrednio nie tyczyły.

Pewnej jednak nocy do okna chałupy Baksy ktoś począł się gwałtownie dobijać. Wyjrzał przez szybę Baksa, pytając — kto tam po nocy?

— Cicho do jasnej cholery — wypłynął z ciemności zachrypnięty głos. — Otwierać. UB-e!

Baksa otworzył. Poczuł tylko tępe uderzenie w głowę i zwalił się bez przytomności na podłogę. Gdy przyszedł do siebie, domniemani funkcjonariusze UB-e buszowali po mieszkaniu, szukając spółdzielczych pieniędzy. Przy okazji zabierali do worków co wpadło im w ręce.

Napad na Baksę zaważył poważnie na postawie „dworusów". Chodzili osowiali, nie chciało im się zabierać do roboty. Wczesnym wieczorem zamykali się w czworakach i czekali. Mijały dnie. Którejś nocy napadli znowu na Szyszkę, potem pobito Motykę. Kobiety łaziły po kątach i popłakiwały. Działkowicze naradzali się, ale nie mogli nic wymyśleć. Którejś nocy ktoś powywracał sosnowe kołki w polu. Poszli rano i powbijali je z powrotem. Na drugą noc powtórzyła się ta sama historia. Wróg działał. Nerwy odmawiały posłuszeństwa. Pierwszy nie wytrzymał młody Wasiak. Uciekł do Łodzi, zostawiając ojcu swoją działkę i swój udział. Inni nie chcieli się cofać. Cierpliwość się wyczerpała, lecz wahali się, łamali w sobie czekając jednocześnie na pomoc z zewnątrz, z powiatu. W końcu i to zawiodło. I nie wytrzymali, chociaż nie brakło im tej siły klasowej robociarza. Nie wytrzymali, bo poczuli się sami. 22 rozbitków na wyspie, bez żadnej pomocy. Gromada, która chciała gospodarzyć wspólnie. I dlatego nastąpiło to tak bardzo pamiętne w dziejach gromady dawnych robotników dworskich, po trzech latach gospodarzenia wspólnego, rozejście się „na własne".

Dokończenie na str. 6-ej

CZTERY REFORMY

(dokończenie ze str. 5-tej)

IDZIE DO ŁĘKIŃSKA NOWE

Rok 48 należy już do dalekiej przeszłości. Od tamtego zebrania w stodole, wiele się znowu w Łękińsku zmieniło. Wieść ,że parcelanci rozchodzą się na swoje gospodarstwa, że porzucają gospodarkę wspólną, wpłynęła uspokajająco na działające podziemie. Ustały napady, zaprzestano wywracania ukradkiem sosnowych kołków. Bogacze wiejscy, którzy w większości byli właśnie inspiratorami tych wszystkich zajść, odetchnęli z ulgą. „Spółdzielnia dzika" w Łękińsku przestała być dla nich postrachem.

Ale działkowicze nie rozeszli się na własne. Przeczekali do żniw, a potem sosnowe, nieociosane kołki znowu rzędem wyrastały na polach dworskich. Nikt im już nie przeszkadzał przy zabijaniu kołków. Podziemie przestało prawie istnieć, bogacze wiejscy poczuli siłę zwartej, mocnej klasowo gromady. Zbierali się teraz dawni robotnicy dworscy w świetlicy na zebrania gospodarcze i partyjne, bowiem organizacja robotnicza wyszła w teren do robotnika rolnego, mocniej się z tym terenem związała, zbierali się teraz w świetlicy by posłuchać referatów, poczytać gazety i książki. W świetlicy gromadziła się młodzież zrzeszona w nowo założonym kole ZMP. Życie organizacyjne poczynało stopniowo tętnić w Łękińsku. Robotnicy dworscy nie czuli się już samotni.

A przecież gdyby byli rozeszli się, przestałaby istnieć ich siła. Poszliby na swoje własne, na tę „gospodarkę pańską", o której tak marzył Stefan Koza. To pewne. Ale nie oparli byliby się biedzie, która czyhała na nich wraz z bogaczem wiejskim. To „własne" stałoby się dla nich przekleństwem.

Zostali przy wspólnocie. A wraz z tą ich wspólną siłą, która oparła się wrogowi klasowemu, do Łękińska dawnego dworu zaglądnęło „nowe".

Przyszło do chałupy Baksy wraz z pierwszym oficjalnym zebraniem, omawiającym prawdziwy statut dla „nie dzikiej", a prawdziwej spółdzielni produkcyjnej. Trudno się im było zdecydować, bo świeżo mieli w pamięci walkę, jaką stoczyli o tę ich „dziką spółdzielnię". Co by było, gdyby tak powstała prawdziwa?

Ale poczucie tego „nowego" zostało im po zebraniu. Długo jeszcze, aż zaskoczył ich świt, radzili nad tym „nowym" po zebraniu w chałupie Baksy. Może to i dobrze by było?... zastanawiali się.

Ale nie. Wześnie nie przystąpią do spółdzielni, jak nie zobaczą już takiej pracującej. Pojechali przeto do Konar. Zobaczyli na własne oczy jak tam żyją dawni fornale, ordynariusze i dniówkowi. Zobaczyli i przekonali się.

✤

W Łękińsku nie ma jeszcze prawdziwej spółdzielni produkcyjnej. Czwarta reforma zrodziła znowu „dziką spółdzielnię". Ale czyż możemy uprzedzać fakty?

Moje wędrówki do Łękińska nie skończyły się na tych czterech reformach. Sądzę, że jeszcze nie raz zaglądnę do Łękińska, do dworu wraz z czytelnikiem. Bo czyż możemy przewidzić i być pewni, że z tym „nowym" które zawitało w końcu 1949 roku do czworaków dawnego majątku, nie idzie następna, daleko lepsza, piąta reforma, niosąca tym ludziom dalszy, pomyślniejszy etap w ich życiu?

Tadeusz Szewera

W NUMERZE 12 (243)

Tygodnika „Wieś" z dnia 26 marca 1950 r.

Henryk Worcell — Rewolucja w Guranowie. I nagroda za „reportaż o wsi". **Kazimierz Dębnicki** — Wiek XX. **Stefan Atlas, Stanisław Wygodzki, Wanda Markowska, Piotr Greniuk.** — Głosy członków Jury. **Marcin Wielgus** — Wielki internacjonalista. **Klara Zetkin — Polski** przyjaciel niemieckiego proletariatu. **Michał Gołodny** — Salut. **Julian B. Marchlewski** — Fizjokratyzm w dawnej Polsce. **Stanisław Płoski** — Praca naukowa Marchlewskiego. **Arnold Słucki** — Wiersze. **Jan Kryza** — Wielkie kadry specjalistów. **Leonard Sobierajski** — O literacką wizję wsi. **Edmund Niziurski** — Topiela. **Władysław Błachut** — Jeszcze o rewolucji kulturalnej wsi. **Walery Osmenda** — Robotnicy z woli Zabierzowskiej. **Dobrosław Klimiek** — Dokąd pojadą pisarze. **Wys** — Ogólnopolska wystawa plastyki. **14 ilustracji, 8 stron.**

SPROSTOWANIE

W artykule Witolda Łukaszewicza pt. „Stanisław Gabriel Worcell na tle epoki" w Nr. 11 (242) „Wsi" wkradły się błędy zecerskie, które niniejszym prostujemy:

1. Wiersz czwarty motta winien brzmieć: „Ich wrzask, ich imię, ich lament — to hasła".
2. W wierszu piątym od dołu na łamie drugim zamiast „zachodu Rosji" winno być „Zachodu i Rosji".
3. W wierszu czterdziestym od dołu na łamie czwartym zamiast „entralnej" winno być „centralnej".
4. W wierszu 64 od dołu na łamie drugim zamiast „Ruesem" winno być „Recesem".

ZBIGNIEW KWIATKOWSKI

N O W E

Nagroda „na reportaż o wsi"

rys. S. Gierowski

Wysocice, wieś położona kilkanaście kilometrów od Miechowa i daleko od trasy Kraków — Warszawa. Grudzień . — w mieście na ulicach błoto — a tu śnieg. Zaczął padać przed kilku godzinami, pada dalej. Drogi przecinające w poprzek i w głąb lessowy grunt, zdążył już zawiać. W mieszkaniu buchaltera spółdzielni produkcyjnej „Przodownik" w Wysocicach zastałem Józefa Domagałę, Mieczysława Majchrowskiego, Mariana Celbana, Jana Chwostka, Stanka. Później, już w trakcie zaimprowizowanego zebrania, które odbyło się z okazji przyjazdu — pozaplanowego — inspektora Centrali Spółdzielni Rolniczej — Leśniewskiego — przyszli jeszcze inni.

Każdy z nich — schodzili się niedługo, łączność działać tu musiała drogami, o których nie wszystko chyba jeszcze wiemy — uważnie strzepywał z butów resztki rozmakającego śniegu. Witali się najpierw z Leśniewskim, potem ze

mną — twarze mówiły: kim jesteś? — potem z resztą. Przystawiony do kaflowej kuchni piecyk, przed chwilą napalony, zaczyna grzać. Wysycha skóra mokrych butów, co w połączeniu z gęstym zaduchem parującym ze świątecznej odzieży, czyni ten obcy dom bliższym.

Rozmowa nieobowiązująca, to znaczy o rzeczach, których ocenę przez ludzi obcych — przez nas — można z góry przewidzieć, przechodzi w mniej kontrolowaną. Jakieś sprawy, które w pierwszej fazie wydawały się nieważne, albo zostały przemilczane, teraz stają się równorzędne. Czekam, aż wyjdą na plan pierwszy.

A tymczasem pytam o sprawę, zadaję pytania, na które z góry domyślam się odpowiedzi. Najchętniej odpowiada Domagała. Starzec, ręce — kiedy nie wsparte o oparcie krzesła — całe „chodzą". Odpowiada, kreśląc tło szeroko, haczykami starczej pamięci wyciągając rzeczy ważne dziś i takie, których ważność starła się na mierzwę w trybach tamtej, pierwszej wojny.

Urodził się tu, potem — rok 1902 — pracował w Zagłębiu, w kopalni „Renard', dalej „Fitzner i Gamper". Z tym łączy się jego przejście z klasy niewykwalifikowanych do fabrycznego rzemiosła. Tu pracuje jako kotlarz — stąd przytępiony słuch — styka się z ruchem robotniczym. Spotkanie jest owocne: pięć lat zesłania na Syberię.

Mija młodość; środek życia: wojna, aresztowanie przez wojskowe władze armii carskiej za działalność sięgającą jeszcze okresu zagłębiowskiego, wyrok śmierci, ucieczka , okres międzywojenny... — to Józef Domagała.

Buchaltera Jana Gajkowskiego pytam: był pan w Ameryce? Zdziwienie: skąd wiem? Okularów typu noszonego przez Gajkowskiego u nas nie ma. Te sześcioboczne płytki szkła, osłaniające błyskami jego oczy są doskonałym drogowskazem w jego przeszłość.

Więc był w Ameryce. Wyblakłe oczy za rzadkimi rzęsami, jaśniejszymi od skóry, wyjaśniają resztę: pracował w stalowni. Majątku nie przywiózł. Przywiózł rzecz — czy nie ważniejszą? — perspektywę w spojrzeniu na świat.

Majchrowski — ten najbardziej oporny. Gładki. Wygolona pełna twarz nawet przy kruczo czarnych włosach jest śniada. Rysy dalekie od regularności. On jeden, mimo ciepła, nie ściąga czarnego, nieskazitelnie wyczyszczonego płaszcza. Jest zastępcą przewodniczącego zarządu spółdzielni, ma za sobą jednoroczną szkołę rolniczą. Tego przegryźć trudno — ale może on sam rozłupie się jak orzech?

Obok mnie siedzi Stanek. To jeden z założycieli spółdzielni. Nic o nim nie wiem. W wieku Majchrowskiego, nawet z wyglądu do niego podobny. Przyszli też razem.

Ta grupa — to tło. Wiem: później się zróżniczkuje, wyjaśni; jak na zasłanym śniegiem polu w odwilż, w słońcu, wychodzą czarne linie miedz — tak tu wyjdą powiązania, nici.

Mówi Leśniewski:

— Majchrowski — w Krakowie już zapłacone czekają na was papa i lepik. Przecieżeście wiedzieli, że są?

Majchrowski:

— Wiedziałem. Posyłaliśmy tam nasze konie. Wrócili i powiedzieli, że trzeba kaucję na beczki. Przecieżeśmy ją dali — mało było? Konie się zgoniły... przyszły z pustym wozem.

— Byli! Ale wasz furman nim przyszedł do magazynu, to jeszcze w drodze gdzieś zmiękł. Przyszedł do spółdzielni pijany — u mnie też był, widziałem sam... Kogo przysyłacie?

Majchrowski trącił Stanka: teraz rozumiesz? Znowu pił...

Siedzą i patrzą: jeden w okno — dopiero druga, a już szaro — inny w ścianę. Nieporadnie do niej przyczepiony biegnie sznur elektrycznego przewodu. Piec od dołu — rozpala się do czerwoności. Domagała do Leśniewskiego:

— Jutro poślemy dwie furmanki — pojedziesz Mietek?

— Pojadę.

Czuję: nie jestem tu im potrzebny — i jestem potrzebny jak nigdy. Pierwsze szwy opanowania, chłopskiej skrytości pękły. Wylazła na wierzch któraś ze spraw — jeszcze chwila, a pociągnie za sobą inne. Stopią się w nich w jeden obraz wizerunki Majchrowskiego, Stanka, Gajkowskiego. Mechanizm życia, które wyrzuciło właśnie tu na tę wieś sprawę spółdzielni stanie się jasnym, zrozumiałym, uchwytnym. Wstaję od stołu, podchodzę do okna, staram się stworzyć atmosferę „wyłączenia się" z ich spraw. Słyszę:

— Pije. Znowu pije, a był już z tym spokój. Wczoraj była tu jego żona — chce, żebyśmy go ratowali.

— A nie wiecie wy z kim?

— Z kim pije? Wiem: z tymi, którym to potrzebne. Chcą zrobić z naszego człowieka — świnię. A ze spółdzielni — chlew. — Poznaję głos Majchrowskiego. — Teraz zmienili metody. Stanisław Gajkowski siedzi za swoim lasem, ale z roboty nie rezygnuje... Nie udało mu się nas rozbić na wiosnę, próbuje teraz, zimą. Polityk... A ten im w łapy lezie...

— Komu? — to ja stawiam pytanie.

Majchrowski nie odpowiada. Patrzy w podłogę — jego zaciśnięte ręce bieleją na kostkach. Stanek to samo: nieobecny. Domagała:

— Komu? Ano tym, co by chcieli naszą robotę zatłamsić, komu ona nie w smak, kto się jej boi. Ale to by trzeba chyba od początku wszystko opowiedzieć, bo tak, to byście z tego nic nie wiedzieli...

— Czasu mamy dość — mówcie...?

— Pierwsze zebranie zwołane przez komitet założenia spółdzielni odbyło się wczesną wiosną...

— W kwietniu. 7 kwietnia — uzupełnia Majchrowski.

— Tak. 7 kwietnia. Zebrała się na nim cała wieś, a po czterech czy pięciu zebraniach, w maju, 22 maja — uzupełnia już teraz sam Domagała — komitet założycielski przekształcił się we władze spółdzielni, do której zapisało się czterdziestu kilku członków. Zauważcie: na początku chętnych było ponad 50.

— To znaczy, ktoś odpadł?

— Nie odpadł... Byli tacy, co ich od sprawy odłupali...

Wczesna wiosna na wsi, to rzecz — żeby tak powiedzieć — wonna. Pachnie ziemia, powietrze, las. Grzbiety bruzd suszone przez wiatr stają się płowe, ledwie je tkniesz, rozsypują się w proch. Rowami płynie woda i kołysze zielonymi wodorostami.

W Wysocicach wiosną 1949 roku zakołysało ludźmi. W treść rozmów, w treść myśli wtargnęły sprawy nowe, nowe i już choćby dlatego niepokojące. Szerokie i ogarniające wszystko, jak wiosenny wiatr. Zmieniające życie jak wiosna zmienia zimę w lato. Zmieniające sprawy najbliższe i odległe. Zmieniające wszystko.

Marian Celban, dziś orze swoje, dobija do miedzy sąsiada — nawraca. Jutro — jutro będzie orał spółdzielcze, co się tłumaczy w myśl spółdzielczego statutu: swoje i wspólne jednocześnie. Jakże to?

Wczesnym wieczorem — czas orki minął już dawno, maj — zebranie. Za stołem prezydialnym Domagała, Majchrowski, Stanek. W jednej z pierwszych ławek Celban. Wąsy jak skrzydła. Na wysokich butach grudy ziemi.

— Wyjaśnijcie sprawę własności gruntu — mówi Celban nie wstając.

Zza stołu podnosi się Majchrowski. W ręce „Statut Spółdzielni Produkcyjnych" — sprawa własności ziemi — strona 18. Majchrowski zna te paragrafy na pamięć, ale woli je czytać:

— Paragraf 2 — ziemia. Użytkowanie ziemi w spółdzielni odbywa się na następujących zasadach: wszystkie grunty orne oraz inne użytki i nieużytki, lasy i wody posiadane przez członków spółdzielni, łączą się celem wspólnego gospodarowania — z tym, że każdy członek spółdzielni zachowuje prawo własności swego wkładu gruntowego i prawo przekazania go swoim spadkobiercom — Majchrowski czyta powoli, każde słowo z oddzielna, wyraźnie. — Syn lub córka członka spółdzielni jeśli wstąpi w związek małżeński i pozostanie na wsi jako członek spółdzielni, może mieć uchwałą ogólnego zebrania przyznany osobny grunt pod zagrodę i działkę przyzagrodową... W razie wystąpienia lub wykluczenia członka ze spółdzielni otrzymuje on zwrot swego wkładu gruntowego przez wydzielenie dlań gruntu o tej samej wartości na skraju gruntu spółdzielni.

Majchrowski potknął się o to dziwne słowo: dlań — ale przeszedł go i czytał dalej:

— Członek przystępujący obowiązany jest wnieść ziarno siewne i sadzeniaki w ilości...

Celban podparł głowę rękami — pałąk palców wyrósł wysoko nad nią — słucha. I on pamięta — słowo po słowie — paragraf 2. Zna treść broszury, pierwszej w życiu przeczytanej książki, ale słucha jeszcze raz, słucha uważnie.

Wie, że z nim razem słuchają inni, ci którzy statut spółdzielni tłumaczą inaczej, wykładają go krócej: Ziemię ci wezmą — co będziesz żarł? Trawę na przykopie?

Oni też tu przyszli . Stoją stłoczeni przy wejściu. W pierwszych rzędach luźno — ale oni tu nie przyjdą. Stoją w gromadzie odgrodzeni od reszty murem, który tu, na tej sali wyrastał, tężał — stwardniał. W ławach kto? Nędza, średniacy: 3 hektary, 4, ćwierć — dwóch, może trzech pięciohektarowych. W kącie: śmietanka: właściciel motoru do młockarni, młynarz — dziadostwo to, ale zawsze młyn... — siedmio, ośmiohektarowcy. I w prezydium mają swego. Między Majchrowskim a Stankiem siedzi Stanisław Gajkowski. Przewodniczy. Udziela głosu... obiektywnie: i tym z ławek i tym z kąta, spod drzwi. Tym ostatnim nawet chętniej. I nie niecierpliwi się tak, kiedy oni mówią, ale bo i mówią inaczej, nie pytają naiwnie, tak jak Celban — o to samo po raz trzeci. O, choćby teraz:

— Dość, dość Majchrowski! Co i jak — wiemy. Czytać umiemy, a ci co czytać nie umieją, niech do nas na naukę przyjdą, — Inny głos: My go już nauczymy...

Śmiech: Przebiega jak drżenie po skórze konia: ciuchutki — jeszcze szmer — potem dygoce basem — w ławkach cichnie. Marszczą się czoła ludzi w ławkach. Celban podnosi głowę, dźwiga ją ze spracowanych rąk — patrzy w kąt. I nie wstając:

— A czegoście się chcieli dowiedzieć?

Powietrze w sali tężeje. Gajkowski — ten z prezydium, nie mieszajcie go z Gajkowskim buchalterem — przekłada laskę z brzegu na brzeg stołu.

— Czego? — mówi ten, który chciał uczyć. Celban teraz stoi. Chłop chudy, wysoki. Skóra na wygolonej twarzy napięta, na wyraźnie rysujących się kościach błyszcy. Widać pracę mięśni twarzy — kożuch na wrzącym mleku. — Chcemy wiedzieć jedno tylko: dla kogo ta spółdzienia? Nam ona nie potrzebna!

Przewodniczący Gajkowski zarządził przerwę w obradach.

Wychodząc z sali zostawił — zwisającą na brzegu stołu — laskę, wyszedł na dwór, wyciągnął tytoń z własnej uprawy — nie wszystko widać odstawił do monopolowego magazynu... — skręcił papierosa, zaciągnął się. Podszedł do niego Stanek.

— Słuchajcie Gajkowski, przewodniczącym na zebraniu jesteście, a deklaracji członkowskiej jeszczeście nie podpisali... Jakże to? Może choć ze dwa hektary z onych 26 co ich macie? Za zaszczyt, żeście przewodniczyli?...

Gajkowski słucha, nie patrząc na Stanka.

— Nie. Nie zapiszę.

— Nie?

— Nie.

Po przerwie głos zabrał Stanek. Nawiązał do pytania rzuconego z kąta — przypomniał je: komu potrzebna jest spółdzielnia? Tak myślę... — zaczął.

Przecież to ten sam Stanek co siedział przy mnie... Ale teraz — to inny człowiek. Pękł jak orzech — wnętrze wybierzesz teraz łatwo... Jest nas w izbie kilku, a ten mówi jak na wiecu. Nie, żeby głośno; zwyczajnie. Ale każde słowo jest twarde, rozgryziesz go: masz w ręce treść. Tak pewnie mówił i tam:

—Tak myślę, że nie wszyscy z tych co się w tej sali znaleźli, mają interes w spółdzielni. Pewnie tego interesu nie ma i przewodniczący naszego zebrania pan Gajkowski... Bo jakem się go przed chwilą pytał czy ze swoich 26 hektarów zadeklaruje na spółdzielnię choć dwa, odpowiedział: nie. Ale niech sobie pan Gajkowski nie myśli, że nas tym oświadczeniem zdziwił. Pamiętamy przecież czas, kiedy Gajkowski miał tylko 20 hektarów. Do tych 20 dokupił 6... od kogo? Od tych, co mieli wszystkiego dwa... Na co jemu spółdzielnia potrzebna!? Na nic. Jemu spółdzielnia przeszkadza — on się jej boi. Gajkowski wie, że spółdzielnia wzmocni, zwiąże średniaka, małorolnego — wie, że żaden z nich nie przyjdzie już na przednówku prosić o zboże, nie przyjdzie prosić o drogą pożyczkę do młyna, nie przyjdzie do tych, co to po kątach, tam przy drzwiach wczoraj wołali głośno, a dziś mówią szeptem: co? my z dziadami razem? my gospodrze? A Gajkowski — wiemy: on tu chciał gospodarzyć... Spółdzielnię i spółdzielców z torbami puścić! Ale pewnie mu za to podziękujemy, podziękujemy naszemu dobrodziejowi. Podziękujemy za udział w spółdzielni i tym, co chcą uczyć Celbana. My to zrobimy lepiej...

Kpina, drwiny to broń, która na wsi — często nadużywana — nie zawsze działa. Ale tu podziałała: Gajkowski z zebrania poszedł, została po nim zwisająca z brzegu stołu laska.

✤

Odbiegliśmy tak daleko od toku opowiadania, poplątaliśmy porządek zawracając wprost z zimowego popołudnia w majowy wieczór. Ale przecież siedzimy ciągle w tej samej izbie, z nami jak przedtem: Domagała, buchalter Gajkowski, Majchrowski. Te same osoby, ale nie ci sami ludzie... Teraz — razem ze mną — dociekają historii ubiegłych wydarzeń zza zasłony tysiąca szczegółów wynurza się powoli mechanizm zjawisk, odsłaniają fronty, zarysowują bohaterów, zarysowują ostro poszczególne role... O, choćby ta — księdza.

Po dwóch czy trzech zebraniach wybrał się do niego Domagała.

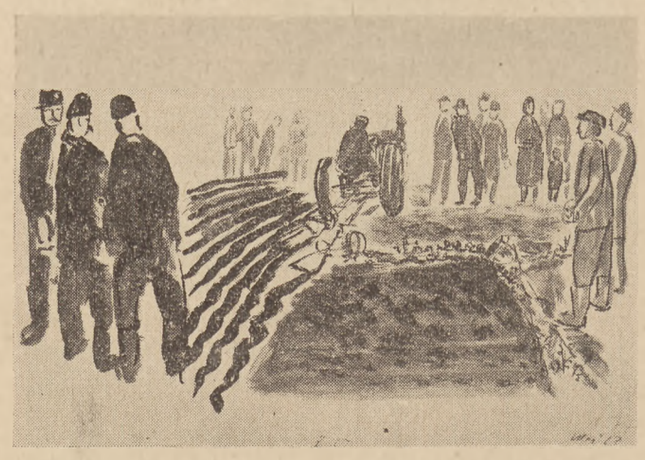

Wybrał się ze sprawą od spółdzielni daleką — chciał wybadać grunt: można z proboszczem o tym pogadać? Okazało się, że ksiądz zorientowany w sprawie jak rzadko: o wszystkich zebraniach — a jakże — wiedział, o ich przebiegu też.

— Ano, myślę se, — mówi Domagała — dobrze jest. Jak to wszystko wie, to znaczy zainteresowany jest. Nic dziwnego zresztą — w jego parafii rzecz się cała dzieje, nikt z tego tajemnicy nie robi. A co — pytam — ksiądz jegomość o spółdzielni myśli? A coby — mówi — zobaczymy, zobaczymy. Ja w niczym przeszkadzać nie myślę. Pożegnaliśmy się grzecznie, do furtki plebanii mnie odprowadził. Ale na trzy dni przed zebraniem, na którym się komitet założycielski spółdzielni przekształcał na zarząd przyjechał do wsi biskup... Dewotki w krzyk...

— Głośno było od niego i na zebraniach — dodaje Majchrowski — jakeśmy przystąpili do komasowania spółdzielczego gruntu, to się jedna, Paterkowa, najgorliwsza dewotka, przyrzekła na swym gruncie żywcem zakopać...

— I zakopała?

— Nie... Biskup przecież wyjechał...

Wyjechał biskup, ale nie wyjechał ksiądz. Nie wyniósł się ze wsi Stanisław Gajkowski. Trzy godziny na dobę stukotały tryby drewnianego młyna — dość czasu zostawało na wykuwanie plotek — choćby o wojnie. Po co ta cała spółdzielnia, kiedy i tak wszystko szlag musi trafić, rozleci się...?

W czasie lata, nocami, na przyzbach chałup przy jarzących się ogniach papierosów zarysowywały się fronty walki klasowej, przygotywywały się do wielkiej jesiennej ofensywy. Sygnałem miała być pierwsza orka na spółdzielczym polu.

— Orali my traktorem... kiedy się czterorzędowy pług wdarł w moją miedzę — zatykało mi gardło. Cała wieś stoi i patrzy: nie na traktor, nie na pług — na nas spółdzielców... a my na nich i w siebie. — Wąsy Mariana Celbana, wąsy jak skrzydła, kołyszą się na jego twarzy. — Nie myślicie, że to było łatwe. Na to trza było odwagi...

— Odwagi?

— Odwagi. Przecieżeśmy wiedzieli, że idziemy w nieznane, w nowe, nie sprawdzone. Na to niezane puściliśmy to co nas żywiło: ziemię. Chleb. Ostatki naszego życia — i przyszłość naszych dzieci. Jak pług odwalił skibę z mojej miedzy — połaskotała ta skiba po piersiach...

— Połaskotała i po moich, a jeszcze mocniej po ojcowskich. Ojciec poszedł za mną, bo mi wierzył, że tak będzie dobrze, że tak musi być. Kiedy orali jego grunt... nasz grunt... nie zszedł z pola ani na moment... Musieli orać głęboko.

W izbie już ciemno. W kącie jarzy się czerwono trocinowy piec. W mroku nie widać twarzy, rąk — płaskie sylwety ludzi w konturach miękną, ale i ogromnieją. Głosy — rwący się Domagały i twardy jak trzask łupanej buczyny Majchrowskiego — zostają w tym mroku długo, zapadają w wyobraźnię głęboko — nie wiem: słowa to czy obrazy?

— Czuli my, już od dawna, że wieś idzie ku nowemu, że musi się skończyć czas, w którym chłop był najgorszym, najzacieklejszym wyzyskiwaczem samego siebie: bogaty dusił mizernego: robiłeś u niego dniówki, za to, że ci na przednówku rzucił garść żyta. Koniaś od niego wziął, parobkowi i koniowi żarcie — i jeszcze płać tysiączkę — z czego?

— Dziecko do szkoły jak posłać? Kto bydło w pole wygna?

— W chałupie nie żona-wyrobnik. Z nóg się wali...

Kto mówi? Wszyscy. A Domagała:

— Kurach — przewodniczący — był wiosną na Ukrainie. Oglądał kołchozy. Tak — mówi — nie tak: maszyny.

Stanek: — My już tego roku też traktorem część zaorali...

Majchrowski: — W lecie przyjeżdżali tu ludzie z miasta. Naprawiali — z naszych maszyn — co się naprawić dało. A wieczorami — tak jak teraz z wami — opowiadali: była przed wojną fabryka, był fabrykant. Płacił — jak chciał. Ludzi — kiedy roboty nie było — do domu. W domu cztery ściany — żryj ścianę. Teraz — mówili — fabryka jest, fabrykanta nie ma. Roboty więcej niż jej zrobić potrafisz. A u was — Gajkowski jeszcze wsią trzęsie?

— Ano — wtedy trząsł...

Ktoś zapalił światło. Jasno. Ludzie się prostują na stołkach. Patrzą na siebie i na mnie — zdziwieni. Wyznania — to rzecz u chłopa nie częsta.

Ze światłem — powrót do rzeczywistości, powrót do teraźniejszości. A to znaczy: marsz w przyszłość. Więc jeszcze raz: cegła, wapno, dachówki na nowe zagrody — zapłacone. Kwestia zorganizowania transportu. Setki ton materiałów wlec trzeba 16 kilometrów — końmi nie poradzi — więc traktory. Spółdzielnię trzeba postawić mocno na nogi — na to uprawa samego zboża nie wystarcza. Przewidziano i to: spółdzielnia część swych gruntów wydzieliła na uprawę tytoniu, lewendy, mięty. Sadzonki mięty i lawendy — budowa inspektów przewidziana jest na rok 1950 — już zamówione i zapłacone. To druga sprawa. Trzecia: budowa nowej szkoły. To co jest, to wstyd.

Czwarta i piąta sprawa. I szósta i siódma.

Jeżeli wiecie jak wyglądają narady wytwórcze na fabrykach — wiecie jak wyglądała ta narada spółdzielni rolniczej „Przodownik". Nie wszyscy — zawsze — mówili: tak, ale wszyscy z a w s z e mieli na uwadze jedno: **jak najlepiej dla wszystkich.** Do tego potrzebna była tym ludziom odwaga. Mieli ją.

Zbigniew Kwiatkowski

WŁADYSŁAWA WASILEWSKA

CIEMNA RZEKA

„Trzydziestoletnia eksploatacja przetrzebiła ludność męską Paragwaju między Południowym Tebicuary a rzeką Paraną. Tacuru-pucu zostało osiem razy wyludnione przez „Industrial". Prawie wszyscy robotnicy, którzy pracowali w Alto Paraná od r. 1890 — 1900, wymarli. Z trzystu mężczyzn zabranych z Villarica w r. 1900 na pola yerbo w Tormenta w Brazylii, nie wróciło więcej niż dwudziestu. Obecnie agenci grasują po Missiones, Corrientes i Entre Rior w Argentynie".

Takim mottem - cytatem młody agentyński pisarz i publicysta, Alfred Varela, zaopatruje pierwszy rozdział swej książki p. t. „Ciemna rzeka *). I czyni to nie bez kozery. Lapidarna informacja historyczno-ekonomiczna stwarza nie tylko punkt wyjścia dla jego powieści, ale również zarysowuje główną problematykę, około której narastać będzie akcja, oraz wyznacza jej miejsce i bohaterów.

Alto Paraná to wielki teren eksploatacji yerba — paragwajskich liści herbacianych. Stąd ciemna rzeka proszku, z którego naparza się ożywczy napój, odpływa na rynki świata. Tu wdarli się w poszukiwaniu bogactw i władzy międzynarodowi handlarze i przedsiębiorcy, awanturnicy i poszukiwacze przygód, dopełniając podziału ziem nieobjętych jeszcze przez gospodarkę kapitalistyczną. Odkrywszy skarby dżungli — białe wysokie drzewa yerba — obalają je, rabują z liści, w gorączce eksploatacji posuwają się wciąż naprzód, zostawiając za sobą dzieło zniszczenia — karykaturę ogołoconej puszczy. Kolonia wciągnięta w sferę gospodarki kapitalistycznej zostaje dostawcą surowca i taniej siły roboczej a zarazem rynkiem zbytu towarów przemysłowych. Armia robotników — mensus — zatrudnionych przy zbieraniu yerba staje się przedmiotem najokrutniejszego wyzysku. Mensus traktowani jak bydło robocze, popędzani batogiem, w nędznych warunkach zdrowotnych, pracują od świtu do nocy pozbawieni wszelkiego potrzebnego dla reprodukcji sił odpoczynku. Przy tym stale znajdują się w niewolniczej zależności finansowej i ekonomicznej od właściciela eksploatowanego obszaru lub tylko posiadacza koncesji na eksploatację. Zmuszanie robotnika do intensywnej przechodzącej jego siły produkcji, dążenie przedsiębiorcy do nieograniczonych zysków, posługiwanie się przezeń aparatem przemocy (wojsko, specjalne ekspedycje karne) dla utrzymania pracownika w ryzach i posłuszeństwie, przy zupełnym braku ochrony pracy, rzuca mensus na żer najbrutalniejszego ucisku.

Gdy eksploatacja wyniszczyła mężczyzn w terenach najbliższych, przedsiębiorstwo zapuszcza macki w ziemie najbardziej odległe. Pozostający na jego usługach płatni nawoływacze, agenci i pośrednicy, werbują do niewolniczej pracy. Obietnice zysków, szczęścia, magnes zaliczki, którą obrócić można na ubranie, wódkę i prostytutki, zwyciężają wśród mensus strach przed legendarną grozą Alto Paraná. Lecz najczęściej do samobójczej decyzji wciągnięcia się w szeregi wyzyskiwanego stada robotników zmusza ich głód. Nadzieja powrotu z pełnym trzosem po kilku latach pracy jest silniejsza niż nieufność do oklepanych obietnic agenta.

Mensu upojony posiadaniem zaliczki żywiołowo wydaje ją na prawo i lewo, obarcza się niespłacalnym długiem, kupując krótkie chwile złudnego szczęścia, za cenę ciężkiego jarzma. Nie wie, że w zorganizowanym przez przedsiębiorstwo oszustwie jest to pierwszy punkt programu, który w następstwie przyniesie całkowitą niewolę. Przedsiębiorca dla omotania i uwikłania mensu uruchamia całą machinę kryminalnych oszustw, posługuje się szeroko rozbudowanym aparatem służalców i pomniejszych wyzyskiwaczy. Jego rozkazy spełniają w licznych gospodach i spelunkach szynkarze, obezwładniający trunkiem wolę robotników i usypiający ich czujność. Na jego usługach pozostają właściciele statków, lupanarów, hoteli. Zorganizowana prostytucja, do której nierzadko zmusza się żony przemocą odebrane robotnikom, daje mensu chwilę zapomnienia i na krótko otwiero mu perspektywy wspanialszego życia wśród taniego wykwintu i pięknych kobiet. Lecz deprawacja mężczyzn i kobiet daje nierównie większe zyski eksploatatorom. Cała ich piramida od podrzędnych do najpotężniejszych utrzymuje się i czerpie bogactwo z uprawianego na robotnikach wszelkimi sposobami bezprawia i wyzysku.

W tym piekle kolonialnej grabieży Ramon Mereyra — bohater książki Vareli — wespół z innymi dzieli los mensus. Autor przeprowadza go przez najróżniejsze sytuacje, przedstawia go wśród robotników w scenach, które dają czytelnikowi bogatą wiedzę o ludzkiej niedoli w kraju kolonialnym. U jej dna, po największych cierpieniach i najboleśniejszych stratach, po upokorzeniach nie do zniesienia, w Ramonie rodzi się i dojrzewa bunt. Planuje wespół z kilkoma towarzyszami pracy ucieczkę. Szpiegujący dozorcy wskazują braci Mereyrów jako przywódców. Wezwani do administracji podejmują we własnej obronie walkę, „ukazując robotnikom ich święte prawo do buntu".

Ramon, to człowiek walczący. Zbiera upokorzenia do czasu, aż przebierze się miarka, lecz nie może pogodzić się z nieustannym poniżaniem ludzi. Ten humanistyczny protest w pierwszym etapie buntowniczej działalności młodego Mereyry przeradza się w walkę skierowaną przeciw bezpośrednio uciskającym go gnębicielom — administratorom, dozorcom. Podobnie pragnienie zrzucenia jarzma powodowało mensus do bezrozumnego niszczenia drzew yerba. „Bo mensu nie rozumie, że nie drzewo jest jego prawdziwym wrogiem, bo jeszcze nie może zwrócić ostrza siekiery przeciw istotnemu wrogowi, dalekiemu *che-rubichá* (szefowi)".

Lecz Ramon na tym nie poprzestaje. Bowiem autor nie ogranicza się do przedstawienia upartych zmagań nieświadomego robotnika dążącego za wszelką cenę jedynie do ucieczki jako drogi ratunku. Nie roztacza przed czytelnikiem obrazu beznadziei, w której uzasadniałaby się nierozwiązalność sprzeczności kapitalistycznego ustroju. Jego bohater szuka z trudem innego wyjścia — takiego, które daje nie przez jednostkę dokonywana zemsta nad pojedyńczym gnębicielem, lecz zorganizowana walka jednej klasy, wyzyskiwanej, przeciw drugiej — wyzyskującej.

Uświadomienie Ramona przyśpiesza jego zetknięcie się z marynarzem zrzeszonym w argentyńskim Związku Robotników, a potem z Frutosem, jednym z żołnierzy rewolucji, jaka w latach 1929 — 1930 wybuchła w Sao Paulo w Brazylii pod dowództwem Pretesa, założyciela Brazylijskiej Partii Komunistycznej.

Ażeby podjąć walkę, Ramon ucieka z dżungli. Fakt ten może budzić pewne zastrzeżenia ideologiczne — ucieczka z kręgu bardziej wyzyskiwanych urasta do symbolu wyjścia z trudnej sytuacji. Książka kończy się jego radosnym okrzykiem zwycięstwa. „Zostawiał za sobą całą epokę na tych kruchych trzcinach zdążając szybko ku następnej. Spieszył do plantacji yerba i do Związku, tam, gdzie ludzie, choć są eksploatowani, walczą wspólnie w obronie własnej godności, gdzie na pewno znajdzie dla siebie miejsce, zdecydowany stanąć mocną stopą tam, jak i wszędzie. Wędrował niby ciemna pręga pejcza, niby podmuch wiatru na przyjaznych wodach Parany, stojąc w pełnym świetle, zalany jaskrawym słońcem południa.

Varela, realizując ambitny zamiar stworzenia pełnego obrazu życia w koloniach, nie posłużył się koncepcją konsekwentnie jednolitego dzieła. We właściwych partiach powieści—bo można w tej książce oddzielić narrację powieściową i publicystyczny komentarz — posługując się językiem prostym i zwięzłym, w realistycznym obrazie, przedstawił życie i niedole mensus. Pasja publicysty znajduje ujście w krótkich literackich szkicach z pogranicza publicystyki i reportażu, zatytułowanych „Podbój" i „W pułapce". Przerywają one rytmicznie właściwą opowieść. Umieszczone poza numeracją rozdziałów rysują w szerokich historycznych perspektywach drogi rozwojowe kolonialnego wyzysku, zahaczając od pierwszych hiszpańskich zdobywców, poprzez XIII-wiecznych „bohaterów pustyni", którzy wytępili Indian, poprzez chaotyczną grabież dżungli aż do nowoczesnych plantacji zakładanych przez potężnych właścicieli latyfundiów.

W sposób żarliwy, demaskatorski, z głęboką troską o człowieka, odkrywa Varela źródła wyzysku, którego formy ulegały zmianom w ciągu wieków, lecz którego cel pozostał ten sam: „dziewicze puszcze yerba i dziewicza krew ludzi o ciemnej skórze".

Ukazuje niehumanistyczną, wyniszczającą rolę, nielicznych, niezbędnych do produkcji maszyn, które służą nie ułatwieniu pracy i nie umniejszeniu wysiłków, lecz ujarzmieniu i przykuciu robotnika. „Ważne jest, aby z suszarni wyszła dobra yerba. Jak wyjdzie z tego człowiek — to nikogo nie interesuje".

Dużo miejsca poświęca autor dżunglii, zespolonej z pracą i życiem mensu. Z bystrze podpatrzonego życia przyrody zaczerpnie wiele porównań, zbuduje misterne, umiejętnie wplecione w tekst alegorie np. o pająku, który złowiwszy chrząszcza w zastawione sidła ginie pod stopą człowieka. Umieszczone przed rozdziałem, w którym gotuje się na Ramona zasadzkę, nie jest wyrazem poszukiwania formalnych upiększeń, lecz pełni funkcję symbolicznego skrótu o wymowie ideologicznej aż nadto wyraźnej.

Powieść, mimo pewnych akcentów pesymistycznych, jest nasycona ładunkiem rewolucyjnej ideologii i jej służy. Opisuje wyzysk, uświadamia i mobilizuje do walki. Pieśń śpiewana przez jednego z robotników niesie błyski krwawego rozrachunku:

„Odzieży gnębicieli
nie pierze się mydłem,
pierze się ją ostrzem ze stali
i prochem strzelniczym".

Polskich czytelników żyjących w kraju rewolucyjnych przemian, w którym tak mocno i niejednokrotnie daje się wyraz solidarności z ludami walczącymi o wyzwolenie społeczne i narodowe, głęboko humanistyczna książka Vareli umacnia w poczuciu konieczności i słuszności tej solidarności.

Władysława Wasilewska.

*) *Alfred Varela Ciemna rzeka, przekład Adama Nowińskiego, Klub Literacki „Odrodzenia", Czytelnik 1949.*

WYBORCY O PISARZACH

NASZ PISARZ

Kandydatem na deputowanego do Rady Najwyższej Z.S.R.R. z okręgu wyborczego Piatigorsk został nasz utalentowany rodak — Siemion Piotrowicz Babajewski, pisarz, laureat nagrody Stalinowskiej, autor powieści „Kawaler Złotej Gwiazdy" i „Światło nad ziemią." Przypominam sobie interesującą rozmowę. Niedawno nasz tokarz, komsomolec, Siergiej Morozow, zagadnął sekretarkę fabrycznego komitetu Komsomołu Oktabrinę Riapołową:

— Jak sądzicie, czy byłby wykonany plan pięcioletni w Ust-Niewińskiej, gdyby bohater książki Babajewskiego, Tutarinow, nie miał takiego przyjaciela — doradcy, jak sekretarz rejonowego komitetu partii, Kondratiew?

— Na pewno — uśmiechnęła się Riapołowa. — Byłby inny przyjaciel — doradca, i oczywiście — nie gorszy. Przecież naszych ludzi jednakowo — i Tutarinowa i Kondratiewa — wychowuje partia komunistyczna. Tutarinowa uczy i kieruje nim troskliwy sekretarz partyjny. A kolektyw? Jacyz wspaniali ludzie otaczają Tutarinowa!...

— Macie rację, — zgodził się tokarz. — Dlatego lubimy książki Siemionowa Piotrowicza, gdyż w nich wiernie zostało odtworzone nasze zycie, gdyz od bohaterów książek Babajewskiego mozna się wiele nauczyc.

Dobrze zapamiętałem tę rozmowę o twórczosci naszego kandydata na deputowanego. Zapragnąłem raz jeszcze przeczytać „Kawalera Złotej Gwiazdy". Przedefilowali przede mną znajomi bohaterowie— znajomi, gdyż często myślę: ot, zaraz spotkam Siergieja Tutarinowa. Tacy ludzie żyją wśród nas, razem z nami budują komunizm.

Znajomość życia, bogate doświadczenia, stała łączność z narodem stanowią o poziomie twórczości Babajewskiego. „Kawaler Złotej Gwiazdy" to nie tylko porywająca powieść, to także utwór, uczący, jak oszczędzac, jak umacniać materialne podstawy gospodarki kołchozowej, jak zwiększać dobrobyt kraju.

To mieliśmy na uwadze wysuwając kandydaturę Siemiona Piotrowicza na deputowanego do Rady Najwyższej Z.S.R.R.

My, rodacy Babajewskiego, upatrujemy źródła jego sukcesów pisarskich w tym, że podejmuje on znane, bliskie mu tematy. Zyciorysy jego bohaterów są nierozłącznie związane z życiorysem samego pisarza. Babajewski urodził się w 1909 w biedniackiej rodzinie chłopskiej. Był kierownikiem czytelni, sekretarzem organizacji komsomolskiej, korespondentem gazet rejonowych i krajowych. Wszystko to, czym żył cały nasz naród, czym żyły stanice kozackie, wstępujące na drogę kolektywizacji, wszystko to wchodziło w zakres codziennej działalności społecznej Babajewskiego.

To nasz człowiek, na którym można polegać. Jako współpracownik prasy bolszewickiej Babajewski brał zawsze decydujący udział w życiu stanic i chutorów dzięki swym artykułom, szkicom, korespondencjom lub tez po prostu wystąpieniom na zebraniach zarządu kołchozu.

I teraz jeszcze, stawszy się znanym pisarzem radzieckim, Babajewski nadal poszerza i pogłębia swoje serdeczne stosunki z przyjaciółmi ze stanic. Bywa wszędzie, wie o wszystkim, wszystkim się interesuje. Gdy dostanie polecenie do miasta — wypełni je z całą obowiązkowością; gdy zwrócą się doń ze skargą — porozumie się z odnośną instytucją i sprawę doprowadzi do końca.

Tylko pisarz - patriota, gorąco kochający ojczyznę, żyjący sprawami narodu, zdolny jest tworzyć dzieła, w których wiernie i wyraziście ukazane jest nasze wspaniałe zycie. Dlatego też nasz kolektyw wysunął pisarza i działacza społecznego S. P. Babajewskiego jako kandydata na deputowanego do Rady Najwyższej Z.S.R.R.

A. GATKOW

przewodniczący grupy gtserów w piatigorskich zakładach remontu maszyn.

PISARZ NOWEJ ESTONII

W niewielkim miasteczku estońskim rozlepiono afisze: „Gosujcie na kandydatów stalinowskiego bloku komunistów i bezpartyjnych!" Mieszkańcy z szacunkiem wpatrują się w plakat z portretem, obrzeżonym czerwoną linią.

W republice naszej nie ma takiego klubu wiejskiego, teatru miejskiego, biblioteki, czytelni, gdzie by nie mówiono o utworach Augusta Jakobsona, nie zachwycano się nimi. Książki jego znalazły uznanie w robotniczym Talinie, czytają je studenci w Tartu, w szkołach uczniowie piszą wypracowania o ideach przewodnich jego twórczości dramatycznej. Widzowie w kinach z zapartym oddechem śledzą losy bohaterów „Życia w cytadeli".

Pouczająca jest droga życiowa dramaturga Augusta Jakobsona.

Syn robotnika, pisarz wrażliwy na cierpienia i walkę swego narodu, Jakobson napisał już przed wielu laty książkę „Wioska biednych grzeszników". Ukazywała ona bolączki społeczne kapitalistycznej Estonii. Estońska burżuazja przyjęła ten utwór z wściekłością i przerażeniem.

Twórczość Augusta Jakobsona wzbogaciła się ideowo, rozkwitła, gdy Estonia weszła do rodziny republik radzieckich. Jakobson każdą nową książką zdobywał uznanie i miłość kręgów czytelniczych. Stał się jednym z najbardziej znanych dramaturgów radzieckich, czerpiących z głębi życia tematy swych utworów. Wyrazem najwyższego uznania dla poziomu ideowego i artystycznego jego książek jest odznaczenie dwóch jego utworów — „Życie w cytadeli" i „Walka bez linii frontu" — nagrodą stalinowską.

Jakobson umie zawsze ujawniać sprawy naszego życia najbardziej aktualne i charakterystyczne. Walczy o postęp na każdym odcinku swej działalności.

W swych dwóch ostatnich sztukach („Rdza" i „Dwa obozy") Jakobson ukazuje, jak rodzi się życie radzieckie w Estonii, jak wykorzenia się przeżytki kapitalizmu z ludzkiej świadomości. Zasługa dramaturga leży w tym, że pokazał on jak w walce ze starym hartują się i krzepną charaktery, zrodzone przez socjalizm.

Z dumą i zadowoleniem robotnicy Estonii wysunęli kandydaturę Augusta Jakobsona na deputowanego do Rady Najwyższej Z.S.R.R. Jest to fakt piękny i wzruszający. Ukazuje bowiem prawdziwą jedność wewnętrzną robotników i naszych nowych inteligentów, budujących wspólnie pod kierownictwem Partii i Stalina gmach komunizmu.

HANS LEBEREKHT

PIEWCA LUDU BIAŁO-RUSKIEGO

Ze wszystkich stron poddawano nazwisko Jakuba Kolasa (Konstantego Michajłowicza Mickiewicza), gdy w kolektywie nowogródzkiej huty szklanej zastanawiano się nad kandydaturą deputowanego z okręgu do Rady Najwyższej Z.S.R.R.

Tutaj, w Nowogródczyźnie, narodowy poeta Białorusi Jakub Kolas jest nie tylko ulubionym pisarzem, ale także drogim i bliskim rodakiem. Dzieciństwo jego i młodość upłynęły bowiem nad brzegami szerokiego Niemna.

W głuszy białoruskich lasów, w chacie ojca-leśnika K. Mickiewicz poznał ciężką prawdę życia w pańskiej niewoli i czystą poezję ludu— jego bajki i legendy.

Oto ważniejsze etapy jego życia. Pierwszy — seminarium pedagogiczne i praca nauczyciela w zapadłej wsi polskiej.

Młody pedagog przeżywa głęboko nędzę i cierpienia narodu. Zwraca się do niego płomiennymi wierszami pisanymi po białorusku. Wiejski nauczyciel Konstanty Mickiewicz został poetą narodowym, Jakubem Kolasem. Stał się wyrazicielem myśli i nadziei swego narodu.

Wezwania poety dotarły do ludu, znalazły oddźwięk w sercach. Jakuba Kolasa, „niebezpiecznego przestępcę politycznego" w 1906 usunięto ze stanowiska nauczyciela, poddano pod nadzór policyjny. W 1908 został skazany na 3 lata więzienia za uczestnictwo w nielegalnym zjeździe nauczycielskim.

Nic jednak nie złamało rewolucyjnego ducha poety. Nigdy, nawet w najgorszych latach carskiej reakcji, nie opuszczała go wiara w lud. Spójrzmy tylko na tytuły jego wierszy z tego okresu: „Nie rozpaczaj", „Sprawa zwycięży", „Nie wierzcie", „Bądź nieugięty."

Nadszedł jednak „złoty wiek", o którym marzył poeta. Władza radziecka otworzyła niezmierzone perspektywy przed narodem białoruskim.

Cóż może być droższego dla artysty nad ogólnonarodowe uznanie? Kolas ma do niego prawo. Dlatego też rząd Radzieckiej Białorusi nadał mu wysoki tytuł poety narodowego.

Jakub Kolas jest także niestrudzonym działaczem społecznym. Sędziwy pisarz aktywnie współdziała w wielu organizacjach.

Świetnym talentem poetyckim, całkowitym oddaniem narodowi, partii bolszewickiej i wielkiemu Stalinowi zdobył Jakub Kolas ogólną miłość i szacunek.

PETRO GLEBKA

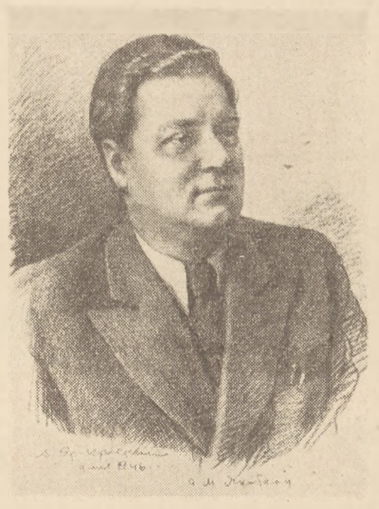

August Jakobson

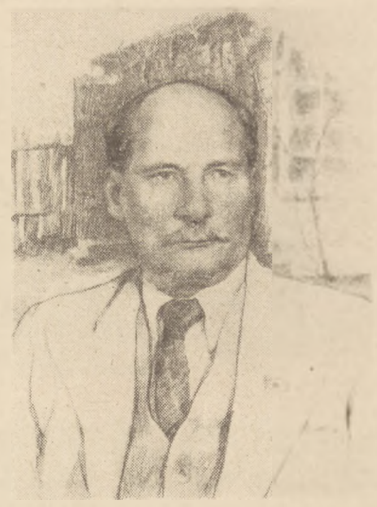

Jakub Kolas

W wyborach do Rady Najwyższej ZSRR wysunięto kandydatury 34 najwybitniejszych pisarzy radzieckich (m. in. kandydowali Szołochow, Fadiejew, Erenburg, Simonow, Tichonow, Czikowani). Tak wielki odsetek pisarzy wśród kandydatów na deputowanych świadczy o doniosłości ich roli w życiu republik radzieckich, o tym, jak istotny i głęboki jest ich udział w najżywotniejszych sprawach społeczeństwa.

Głosy o pisarzach - kandydatach, jakie ukazywały się na łamach pism radzieckich w czasie kampanii wyborczej, kreśliły biografie pisarskie, z których każda ukazywała drogę pracy i walki, drogę służby dla narodu i socjalizmu. Dlatego dla szerokich rzesz wyborców każdy literat-kandydat to „nasz pisarz", który nie tylko przeżył wraz z narodem czas walki, lecz jest także uczestnikiem i towarzyszem codziennego trudu ludzi radzieckich.

ZWIERCIADŁO PRACY PISARSKIEJ

(Z radzieckich dyskusji o krytyce literackiej)

W ramach toczącej się od dłuższego czasu w literackich pismach Z.S.R.R. obszernej i doniosłej dyskusji o literaturze i krytyce literackiej zamieszczony został w „Gazecie Literackiej" z 1. III. br. artykuł stanowiący podsumowanie pracy miesięcznika „Gwiazda" za rok 1949.

Wagę tego typu recenzji dla toczących się dyskusji teoretycznych podkreśla autor, pisząc: „**Nasze literackie i społeczno-polityczne miesięczniki, organy Związku Pisarzy przy dzisiejszych metodach swej pracy odzwierciadlają zarówno osiągnięcia literatury radzieckiej jak i pewne jej usterki. Na szpaltach tych pism odbił się zwrot pisarzy ku bojowym tematom współczesnym i ich nowatorskie ujęcie, głębokie ujęcie podstawowych tendencji życia jest przyczyną faktu, że ukazujące się co miesiąc numery są pożądane dla czytelników. Z drugiej strony jednak takie ujemne zjawiska w środowisku pisarzy, jak nie zwracanie dostatecznej uwagi na zagadnienia rzemiosła pisarskiego, wzajemna pobłażliwość wobec błędów, brak zasadniczego stanowiska w krytyce — ujawniły się także w pracy czasopism i odbiły się na ustosunkowaniu się do nich wymagającego czytelnika radzieckiego.**

Wszystkie te usterki radzieckiego życia literackiego piętnowane były przy omawianiu działalności takich czasopism literackich jak „Leningrad" i „Nowy Świat" oraz przy krytyce stylu pracy kierownictwa Związku Pisarzy. Poza zasięgiem dyskusji pozostał dotychczas miesięcznik „Gwiazda".

Miesięcznik „Gwiazda", wydawany w Leningradzie, jako organ Związku Pisarzy, kierowany jest przez Prezydium i Sekretariat Związku, a zasilany przez aktyw pisarzy leningradzkich. Z jednej strony zapewnia mu to współpracę czołowych literatów radzieckich, z drugiej jednak wpływa na ujemne przejawy pewnego zasklepienia i ograniczenia do spraw miejscowej organizacji pisarzy.

Autor jako cenne pozycje, opublikowane na łamach „Gwiazdy" wylicza szereg powieści, utworów dramatycznych, poematów oraz artykułów publicystycznych, krytycznych i naukowych, wśród nich „Jasny brzeg" Panowej i „Marię" Medyńskiego, dramaty Jakobsona i Wurguna, wiersze Prokofiewa, Dudina Ragicza, i wiele innych. Wszystko to wskazuje na wyraźne podniesienie poziomu miesięcznika w porównaniu do r. 1948. Nie brak jednak i istotnych niedociągnięć.

Wskutek braku dostatecznej czujności i surowej koleżeńskiej krytyki wewnątrz zespołu redakcyjnego, opublikowano utwory uderzająco błędne, lub też wymagające staranniejszego opracowania, jak powieść Germana „Podpułkownik służby zdrowia", opowiadania Marwicza p.t. „Pierwszy i ostatni", utwory Hausnera „Starzy ludzie", „Nowi przyjaciele", powieść Asanowa „Sekretarz biura partyjnego", „Z jednego pułku" Rozena i in.

Oprócz braku surowej krytyki i nierozsądnej gospodarki łamami miesięcznika, zapełnianymi złymi lub niedojrzałymi utworami, jako podstawowy błąd redakcji wysuwa autor niewykorzystane możliwości: „**Niewykorzystane możliwości, to rękopisy nie przyjęte przez redakcję z braku chęci lub umiejętności długiej, uporczywej pracy wraz z autorem. Niewykorzystane możliwości, to utwory, które nie powstały, gdyż redakcja nie zdobyła się na twórcze wskazanie tematu, gdyż doświadczona ręka kolektywu pisarzy, stojącego na czele miesięcznika nie skierowała poszczególnych młodszych lub starszych literatów do pracy nad określonym, ważnym zagadnieniem współczesnym.**"

Czasopismo literackie jest zwierciadłem pracy pisarskiej, jednocześnie jednak i organizatorem pracy — stwierdza autor. Wskazuje, że zarówno w redakcji „Gwiazdy" jak i w zarządzie leningradzkiej organizacji pisarzy brak zespołowej pracy kierowniczej oraz nie wyrobiono dotychczas metod zdrowej krytyki i samokrytyki.

Brak krytyki nie pozwala rozwijać się należycie wybitnym pisarzom leningradzkim jak Panowa, Sajanow, Prokofiew, Gerinan i in. hamuje on także pracę leningradzkiej organizacji Związku Pisarzy.

„**Brak krytyki i samokrytyki w kierownictwie utrudnia walkę z przeżytkami klikowości i kumoterstwa, pozwala na istnienie wśród pisarzy grupek, jednoczących się na zasadzie wzajemnej adoracji i pobłażliwości dla swych błędów. Niewątpliwie silna i twórcza organizacja pisarzy leningradzkich jest w stanie wyplenić podobne, sporadyczne wypadki klikowości i braku zasadniczego stanowiska w dyskusjach, jeśli nie uczyniła tego do tej pory, to dlatego właśnie, że w samym kierownictwie organizacji brak dostatecznej krytyki i samokrytyki, brak zasadniczego stanowiska przy ocenie utworów, brak wreszcie zespołowości w pracy, co gwarantowałoby skuteczną walkę z wszelkimi przejawami odradzania się klikowości.**"

Jako podstawowe zadania stojące na obecnym etapie przed organizacją leningradzką wysuwa autor przedyskutowanie podstawowych ideowo-artystycznych problemów pracy pisarskiej oraz rozstrzyganie ich w toku twórczej zespołowej samokrytyki szerokiego aktywu pisarskiego. Redakcja czasopisma „Gwiazda" winna stać się organem kierowniczym, winna skupiać wokół siebie życie literackie Leningradu i wychowywać młodzież literacką.

„Scementowanie twórczego aktywu pisarskiego wystąpi w trakcie pracy nad podstawowymi, bojowymi problemami współczesnego życia, w szczególności na tle zwrotu do tematu produkcji, do literackiego przedstawicnia stachanowców, czołowych ludzi radzieckich, dzięki którym słynie kraj nasz i słynie Leningrad, miasto wielkich rewolucyjnych tradycji i wielkiej socjalistycznej pracy" — konkluduje autor.

Śledzenie doświadczeń radzieckiego literaturoznawstwa podsumowywanych w licznych, zasadniczych i doniosłych dyskusjach na łamach prasy jest dla polskiego czasopiśmiennictwa szczególnie ważne i instruktywne w okresie nasilenia dyskusji nad obliczem naszej twórczości, nad zadaniami krytyki i nad wytycznymi reorganizacji naszego życia literackiego. Dyskusje radzieckie wysuwają jako stały postulat pod adresem aktywu literackiego zasadnicze przedyskutowanie teoretycznych założeń pracy pisarskiej; ścisłe związanie jej z naczelnymi problemami życia społeczeństwa. Wskazują na konieczność rozwinięcia w szerokiej skali twórczej krytyki i samokrytyki, które są jedyną drogą przełamania niedociągnięć od zewnątrz i wypracowania słusznej linii postępowania przez ambitny zespół, nie zasklepiający się w swych błędach.

M. Z.

MŁODZIEŻ W BORATYNIE

(Fragment z reportażu konkursowego — „Awans Józka Bukały")

Najpierw przyjechały Kusie. Józef i Franciszek Kuś z rodzinami, dobytkiem i dwoma krowami. Zaraz przyjechali, jak tylko im Bąk (ten z ZMP) powiedział o Młodzieżowej Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej w Boratyniu. Nie mieli czego żałować. Chudych 2 ha w Sołotwinie! Kto na nich wyżyje i jakie ma widoki! Tyle tylko, że człowiek jest przywiązany jak pies na łańcuchu. Co spółdzielnia, to spółdzielnia! A przy tym i ziemie tu lepsze, bogatsze. A na spółdzielni to i dzieci mają przyszłość! — Tak mówili Kusie, i to się sprawdziło. Helka jest tu przodownicą pracy i przewodniczącą spółdzielczego koła ZMP (honor dla dziewczyny), Marysię posłali do szkół do Lublina, pewno będzie nauczycielką, może nawet tutaj, w Boratynie. Józek chodzi do gimnazjum do Krystynopola. Codzień leci 3 klm. tam i z powrotem, ale lepsze to, niż gdyby siedział w domu w rodzinnej wsi, w biedniackiej Sołotwinie w puławskim.

Kusie mają piękny dom. Jedni i drudzy. Tak jak wszyscy. Dwa pokoje z kuchnią i podpiwniczną śpiżarką na dole i jeden duży na górze. Może i przyjdzie oddać na górze pokój, jak zjedzie na spółdzielnię jeszcze więcej kawalerki, ale na razie niech się nim nacieszą.

— Zresztą, czy ja kiedy miałam w życiu dwa pokoje z kuchnią?! — mówi Kusiowa. — I to takie pokoje! Na podłodze i jeszcze tak jakby z gankiem przed domem.

Opodal domu mają mały nowoczesny kurnik i obórkę na dwie krowy. Na wiosnę posadzą drzewa owocowe na 30 arowej działce przyzagonowej. I tak mają wszyscy.

Domek Kusiów jest trzeci z brzegu. Pierwszy mają Justowie, wdowa z trzema córkami. Ze służby z Krystynopola przyszły tu do roboty i tak zostały, zostały na swoim. Na górze u nich mieszka kawalerka. Józek Osek przyjechał tu z Lubartowa ze służby u kułaka. Pracuje i sprawuje się tu widać dobrze, bo spółdzielnia zrobiła go magazynierem i pośle na kursy. Z Józkiem mieszka 19-letni Oleszczuk spod Włodawy, który mówi — „ze służby uciekłem od gospodarza, com się u niego dorobił garbu od roboty. Jakem się tylko dowiedział o Boratynie, tom dał dęba". Trzeci współlokator, to 20-letni Kopeć, ten nawet wspomnieć nie chce o dawnych złych czasach. „Co było a nie jest, nie pisze się w rejestr!" — odpowiada ostro, gdy któryś z kolegów zapyta: — „Gdzieś służył"?

Obok mieszkają Ciuryszkiewicze. Przyjechali tu z Kazimierza, z nędzy. Matka i córka pracowały w kamieniołomach, a stary Ciuryszkiewicz mówią, że chodził „po proszonym". Kto go tam wie.. Ale dziś stary zadowolony, że pracuje na swoim.

— W oborze naszej szwajcarem jestem, powiada — na swoim.... —

Najstarsza córka, 18-to letnia Daniela, wszędzie jest tam, „gdzie wspólnie pracujemy, wspólnie uczymy się, śpiewamy, czy bawimy..." — mówią o niej koleżanki. Młodsze Ciuryszkiewicze jeszcze są za małe, żeby pisać o nich jak o spółdzielcach. Czteroletnia Nacia, czarniutka i rozkostrzewiona, jak małe Cyganiątko, przywłóczy się czasem za matką lub siostrą jak ogonek do świetlicy i słucha, o czym starsi radzą, lub próbuje się uczyć i śpiewać, tego, czego się uczą i co śpiewają.

Dalej mieszkają Maciaszki, młode małżeństwo. On jest członkiem zarządu spółdzielni. „Pracowici i weseli!" — mówią o nich spółdzielcy. Na górze u nich też mieszka kawalerka. Pierwszy to Józef Bukała, do niedawna parobek kułaka z lubartowskiego, dziś przodownik pracy i wzór członka spółdzielni. Lubią go wszyscy. Pogodny jest zawsze i ludziom życzliwy, a chętny do każdej roboty jak nikt! — „My zawsze pracujemy z Reginką Mazurkówną, czy w polu, czy przy młócce, czy przy zadawaniu krowom...". Chwali się chętnie Reginą, no, bo Reginka to też pierwsza przodownica i przy tym sympatia Józka. A nie dziwić się, bo i ładna ta Reginka! Prosta, silna, o regularnych rysach i mądrej, skupionej twarzy. W przeciwieństwie do wesołego Bukały zawsze jest poważna, prawie groźna, jakby stwardniała w ciężkiej pracy od dzieciństwa.

Drugi tu mieszka 17-letni Bolek Kęcik o miłej, dziecinnej twarzy. Przyjechał tu z werbunku SP i szukał kursu traktorzystów a trafił do spółdzielni. I tak został. Myśli, że teraz może go poślą na kurs sadowniczy. A „zawód ogrodniczy — mówi Bolek — bardzo mi się nawet podoba". Trzeci to Staszek Kaniewski. O, ten to całe życie wytłukł się po służbach!

„Na własnej skórze już poznałem — warczy przez zaciśnięte zęby Kaniewski — co to jest wyzyskiwacz! 25 lat mam a nie dorobiłem się na służbie na buty i na koc nawet. Płachtą się okrywałem i spałem na worku z sianem, jakem tu przyjechał, a buty to mi tu dali gumowe z funduszu odzieżowego i kombinezon też, a teraz watówkę".

Los wszystkich tych chłopców i dziewcząt był podobny. Jak nie ze służby i często z sierocej ciężkiej doli (jak to po wojnie!) — to z takiego okrajka ziemi, co to „szkoda gadać! — i żyć nie ma z czego, i umrzeć nie ma za co!"

„I honoru nawet człowiek nie miał swego! — skarży się poufnie ładniutka, 18-letnia koleżanka Z. — jak mi taka paniusia, com u niej służyła od 8-ego roku życia, bo mi w wojnę matkę i ojca zabili, jak mi taka paniusia, że chciałam się uczyć i na kurs wieczorowy iść — powiedziała: „Ty szantrapo jedna!" — to, czy to honor dla takiej uczciwej dziewczyny, jak ja? — Tyś sama szantrapa, jak mówisz na kogo! — powiedziałam jej i poszłam. I gdzie? Pewno, że nie na ulicę, jak „szantrapa" i może jak to było dawniej za burżuazyjnych rządów. Do ZMP pójdę! Bo z czego. To, co dostają, to jest tylko zaliczką, pożyczka państwa dla nowych gospodarzy na początek. A początek zawsze jest ciężki".

„W ogóle z początku to było trudno i z ludźmi — informuje kierownik organizacyjny Łapiński. — Ludzi potrzeba wychować na spółdzielców. Przyjeżdżają różni, przyjmuje się wszystkich, a nie każdy wie, czego chce i po co przyjechał. Mieliśmy wypadki, że ludzie wyjeżdżali a byli też tacy, których usuwał kolektyw. Bo co robić z takim, co pracować nie chce i drugich jeszcze buntuje? Co z nim robić?".

„Taki np. Mioduszewski — opowiadali spółdzielcy — taki „pan"! ręce w kieszeniach, w zębach fajeczka i złe słowo na spółdzielnię. A jak kto mu powiedział „kolego", to on: — „nie zbierałem z tobą szyszek w lesie!" Kto on by mógł być taki? — Patrzcie go, magazynierem chciał tu u nas zostać! A do roboty go! Niech ręce zakasze!".

„Albo i te Kule! Oj, głupie, bo głupie! — wydziwia Maciaszkowa. — A co się „natracili" i nic z tego. Cała rodzina tu przyjechała z dobytkiem z Męćmierza, w puławskim, a do roboty iść nie chcieli. Córki cały dzień przed lustrem a ojciec łatwego chleba szukał. „Na budowę jaką pójdę, albo gdzie do stolarni, to się nie utyram tyle..." — mówił, no i ogon zawinął i poszedł! I cała rodzina za nim. Ale co się „natracili"— to „natracili"! Jałówkę tu sprzedali i dwie kozy i graty wszyściutkie...".

„A Różka tośmy sami wyrzucili — mówią koledzy boratyńscy. — Do partii niby to należał i do ZMP, a „pana" odgrywał i chciał nam tu „panować", a tylko jątrzył i od pracy odmawiał. „Co? — mówił, — w kołchozie będę robił?! Nie ma głupich..." A do diabła z takim „przebierańcem", z „takim podżegaczem wojennym!!!" Wyrzuciliśmy!".

— „Panów tu nie potrzebujemy!

Młodzież z Boratynia idzie do pracy

szłam! — mówi z dumą. No i w ZMP pytają koledzy, gdzie wolę iść, do SPP czy na MRSP? — Na spółdzielnię! — mówię — bom ze wsi".

Jeden domek zajmują tu traktorzyści z POM-u, na codzień „wysmarowane chłopaki" — „eleganci" w niedzielę i święto. „Za mało jeszcze mamy traktorów w Boratynie, — mówią — a ugory zlikwidować chcemy i plan wykonać, to i dużo robimy, ale zarabiamy też nieźle!"

Zarobki ich istotnie idą w grube tysiące. Było to nawet w pierwszych chwilach istnienia spółdzielni zarzewiem nieporozumień i niezadowolenia wśród spółdzielców: — „dlaczego oni tyle zarabiają a my mniej?".

„Trzeba było namęczyć się dobrze — mówi kierownik rolny — Janczak — żeby wytłumaczyć „naszym", że spółdzielnia zagospodarowuje się dopiero i że nie ma dochodów. Zawsze sobie robotę tak ułożymy, zaplanujemy na zebraniu produkcyjnym, że każdy wie, o co chodzi i każdy się poczuwa! No i zawsze zrobimy. Taka już nasza ambicja! — mówią młodzi chłopcy i młode dziewczęta, zetempowcy ze spółdzielni Boratyn. — Teraz to już nie ma „osóbek", jak z początku. Teraz to wszyscy za jednego i jeden za wszystkich, za spółdzielnię! Nie ma co gadać! Tak jest!". **Aniela Daszewska**

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL
Redaguje Komitet.
Adres Administracji: Warszawa, ul. Wiejska Nr. 12 Adres Redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza Nr 7.
Tel. Red. Nacz. 812-71. Tel. Redakcji 8-00-61 do 6, wewnętrzny 23 i 76.
Wyd.: SPÓŁDZIELNIA WYDAWN. - OSW. „CZYTELNIK"
REDAKCJA NIE ZAMOWIONYCH REKOPISOW NIE ZWRACA.
Adres Prenumeraty i Ogłoszeń — Warszawa — Plac Trzech Krzyży 16
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 80,— zł; kwartalnie 240,— zł; półrocznie 480,— zł; rocznie 960,— zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa I—6841 z zaznaczeniem „za tyg. „Wieś".
Drukarnia nr 2 Spółdz. Wyd.-Ośw. „Czytelnik". Marszałkowska 3/5.
B-103265

„NIE ŚWIĘCI GARNKI LEPIĄ"

Chłopi w Jasienicy pragnąc uniezależnić się od bogaczy wiejskich w wypożyczaniu maszyn rolniczych i siły pociągowej — zwołali naradę.

— Dość krzywdy i wyzysku, dość wysługiwania się bogaczom — wołali odważniejsi. Nie mamy maszyn i narzędzi rolniczych, lecz mamy spółdzielnię gminną, której jesteśmy członkami. Niech założą ośrodek maszynowy, uruchomią kuźnię, warsztaty, a wtedy skończy się nasza bieda.

I uradzono wysłać do prezesa spółdzielni delegację chłopską. Niech powiedzą, niech przekonają...

— Załóżcie ośrodek maszynowy, a my wam pomożemy. Damy drzewo, podwody, robociznę? Damy wszystko, co mamy, byleby móc korzystać z traktorów i narzędzi, móc wyostrzyć lemiesz do pługa, podkuć konia...

Płynęły miesiące...

I oto z rumowiska zaczął powstawać ośrodek maszynowy, budowany z niczego — pracą rąk robotnika i osadnika okolicznych gromad, rozumiejącego, że powstanie ośrodka maszynowego pomoże mu w uprawie roli, zaoszczędzi czasu i pieniędzy.

Rozpoczęła się praca gorączkowa, pełna samozaparcia się i zapału.

Z okolicznych gromad zaczęły zjeżdżać wozy z drzewem, żwirem i piaskiem. Wielu osadników zapisało sobie wtedy piękną kartę, pracując nieraz całymi dniami, aby tylko prędzej, szybciej powstał ten nowy ośrodek maszynowy.

Duże zasługi w uruchomieniu ośrodka położył dzielny kościuszkowiec z pierwszej dywizji, małorolny z gromady Dębostrów, Tomasz Glinka, nie mniejsze robotnik ośrodka, Józef Gajda, który wraz z synem wykonał poza godzinami pracy wszystkie roboty malarskie i wiele doraźnych napraw murarskich. Przy odbudowie pomagał również bezinteresownie kowal, Józef Przybylak— bezpartyjny — który w godzinach wolnych od pracy pracował z takim zapałem, jakby budował dom dla siebie... W dzień można go było spotkać przy obkuwaniu koni rolnikom, a wieczorami wraz z synem przy budowie ośrodka maszynowego.

Pracował tu z iście chłopskim uporem średniorolny, Stanisław Machula z Warnołęki, który sam zbierał po wsi deski dla ośrodka, wożąc je następnie do odległej o 18 kilometrów Jasienicy.

Pracowali z zapałem traktorzyści: Stanisław Lewandowski i Michał Kosiński, pomagali w pracy junacy „Służba Polsce", młodzież zetempowska i młodzież szkolna, porządkując dziedziniec z gruzu i śmieci, wożąc deski, cegłę i wapno.

✤

W świeżo odremontowanych halach ośrodka maszynowego w Jasienicy stoją rzędem maszyny rolnicze, wymalowane zieloną, czerwoną i żółtą farbą olejną, żywy przykład dobrze pojętego sojuszu robotnika z chłopem.

Ośrodek pracuje. Pracują traktory na polach chłopskich i maszyny, orząc żyzną i urodzajną ziemię piastowską, aby chleba było coraz więcej.

Ośrodek ten, to chluba i duma osadników jasienickich, warnołęskich, niekończyckich, tetyńskich i dębostrowskich, duma ludzi, którzy postawili na swoim, uniezależniając się od spekulantów wiejskich.

Cieszą się chłopi ośrodkiem, jak małym, ukochanym dzieckiem. Nie zapominają też o nim, stale go odwiedzając i wiodąc długie nieraz rozmowy z pracującymi w nim robotnikami. Przecież razem tu pracowali, razem zwozili cegłę i drzewo, razem radzili nad jego budową, więc nic dziwnego, że ciągnie ich tutaj, że czują się tu dobrze, jak u siebie.

Już nie ma odłogów na polach jasienickich, a ziemia wszędzie jak okiem sięgnąć, pięknie zaorana aż po majaczącą w oddali Odrę.

Wielką uroczystość przeżywała ostatnio ludność Jasienicy i okolicznych gromad.

Celem uczczenia święta Wielkiej Rewolucji Październikowej Centrala rolnicza spółdzielni „Samopomoc Chłopska" w Szczecinie wezwała ośrodki maszynowe do zebrania i wyremontowania marnującego się po polach i drogach sprzętu rolniczego, aby w ten sposób przyjść z pomocą ziemi lubelskiej, odczuwającej brak maszyn rolniczych.

I oto do ośrodka maszynowego w Jasienicy, Dołujach i Podjuchach zaczęły napływać wyremontowane ofiarną pracą mechaników maszyny, motory spalinowe, żniwiarki, młockarnie, grabiarki, snopowiązałki, siewniki i kopaczki, aby służyć z pożytkiem mało i średniorolnym braciom z lubelszczyzny.

Na maszynach tych umieszczono tabliczki z wygrawerowanym napisem: „Dar ośrodka maszynowego w Jasienicy".

Dzień ten, dzień przekazania świeżo wyremontowanych i pomalowanych maszyn chłopom ziemi lubelskiej, był radosnym wydarzeniem dla mieszkańców Jasienicy i sąsiednich wiosek, świadczącym, że dziś u ujścia Odry buduje nową, wspaniałą Polskę chłop i robotnik, których dłonie i serca zjednoczyła jedna, wspólna sprawa — socjalistyczna więź, łącząca masy ludowe z dwóch odległych krańców Ojczyzny — Pomorza i lubelszczyzny.

Tadeusz Ostrowski

Ekipa robotnicza przy pracy.

MŁODZIEŻ TWORZY NOWĄ KULTURĘ

Obywatel Dziubanowski nie może wyżyć na swoich trzech morgach. Pracuje jako robotnik drogowy w Piwnicznej. Ob. Dziubanowski ma syna Adasia. Codziennie rano ojciec idzie do pracy na drogę kamienie tłuc; taka jest jego praca; praca niemniej ważna od innych a może od wielu zawodów ważniejsza, bo dobrych dróg nam dzisiaj potrzeba jak najwięcej; tacy jak ob. Dziubanowski budują równe, piękne drogi.

Syn jego, Adaś wstaje też wcześnie rano; uważa, że do szkoły nie należy się spóźniać. Ale zanim się rozstaną syn gra ojcu przez chwilę na mandolinie — gra wesoło; potem ta melodia dźwięczy ojcu przez cały dzień pracy i miesza się z głośnymi uderzeniami młota o kamień: kamień używany na drogi jest twardy, trzeba go mocno bić — nie tylko mocno, ale i umiejętnie — żeby go rozbić na drobne części.

Syn idzie do szkoły. Co pewien czas po południu, Adaś ma dodatkowe zajęcie — które wynika zarówno z jego zamiłowania jak i z obowiązku: z obowiązku dlatego, że Adaś jest członkiem koła ZMP. Tym zajęciem są próby muzycznego zespołu mandolinistów ZMP, w skład którego wchodzi Adaś jako utalentowany muzyk-mandolinista i gitarzysta.

Adasia Dziubanowskiego, Lebdowicza, Zdzisia Lisowskiego i cały zespół instrumentalny ZMP z Piwnicznej z kierownikiem ob. Żytkowiczem mieliśmy okazję widzieć i słyszeć na Festiwalu Wiejskich Zespołów Artystycznych ZMP, który odbył się w Krakowie w dniach 17 i 18 grudnia.

Zespół ten słusznie znalazł się wśród najlepszych zespołów, które jury przeznaczyło na wyjazd do Warszawy. Wśród nich są zespoły: zespół taneczny ze szkoły rolniczej z Łososiny Górnej nagrodzony za taniec zbójnicki, taki ognisty, jaki tylko artystom z ludu uda się odtworzyć. Następnie zespół składający się z młodych artystów ZMP-owców ze wsi Śledziejowice i z młodych artystów robotników z Krakowa. Współpraca na odcinku artystycznym miasta ze wsią, robotnika z chłopem dała w tym wypadku jako wynik prześliczny taniec — oryginalny krakowiak tańczony przy dźwiękach własnej kapeli; zespół wiejski z Radziechowy, pow. Żywie, który wystąpił w tańcu i inscenizacji pt. „Mojka" i „Dziad".

Doliczyć do nich należy zespół koła ZMP przy ZEOK nagrodzony za wykonanie tańca radzieckiego „Trojka", zespół taneczny z Wolbromia oraz zespoły chóralne z Krzeszowic i Rudnika.

W SZTUCE I W ŻYCIU ZWYCIĘŻAJĄ ZDROWE SIŁY

Mąż-chłop jest mądry, wie co jest dobre a co złe. Wie, że paskarstwo, pędzenie bimbru — chociaż mogą przynieść doraźną korzyść — są zajęciami niegodnymi człowieka. Ma żonę pyskatą, głupią i zachłanną, której boi się i ulega. Ich córka dziewczyna rozsądna ma dwóch starających się o jej rękę — bogatego paskarza żyjącego z oszustwa, z brudnych kombinacji i uczciwego chłopca, biednego, ale pracowitego, który zamierza osiedlić się na Ziemiach Odzyskanych i tam rozpocząć nowe życie. Za chłopca uczciwego pragnie wyjść za mąż dziewczyna, jednak boi się matki, która ją zmusza do poślubienia paskarza. Uczciwi jednoczą się, tworzą wspólny front i zwyciężają. Matka ulega — oto treść sztuki „Gospodarz to ja" granej przez wiejski zespół robotniczy ZMP z kopalni „Zbyszek" w Trzebini. Zespół ten znalazł się wśród nagrodzonych zespołów dramatycznych występujących w Festiwalu Wiejskich Zespołów Artystycznych ZMP obok zespołu wiejskiego z Kalwarii, który wystawił „Matkę" Gorkiego, dwóch zespołów z Wysocic nagrodzonych za sztuki „Wesele Jagny" i „Spacer więzienny" oraz zespołu z Makowa Podhalańskiego, nagrodzonego za „Jubileusz" Czechowa. Wysocice — młodzieżowa spółdzielnia produkcyjna wychowują dzielną młodzież. ZMP-owcy z Wysocic pokazali, że nie tylko potrafią przodować w walce o przeobrażenie wsi w duchu postępu, nie tylko potrafią torować drogę, postępowej gospodarce rolnej opartej na nowych socjalistycznych zasadach, ale także potrafią być pierwsi w pracy kulturalno-oświatowej i artystycznej. Zespoły Wysocice i kopalni „Zbyszek" wyjadą również do Warszawy.

TALENTY

Na scenie Starego Teatru i następnie w Międzyzwiązkowym Klubie Robotniczym popisywały się zdobywając żywe oklaski, pochwały, nagrody, wyróżnienia zespoły wiejskie ZMP: dramatyczne, muzyczne (orkiestry, chóry), taneczne i recytatorskie — solowe i grupowe.

Młodzi ZMP-owcy, dzieci wsi powiatu miechowskiego: Tadeusz Marzec, Krzysztof Wieczorek, Zofia i Kazimiera Żaba recytowali wiersze Tuwima. Na sali podczas ich występu panowała niezamącona cisza taka, jaką tylko może wywołać gra świetnego aktora. Ta utalentowana czwórka może być w przyszłości czwórką świetnych aktorów. Postarać się winien o to zarząd wojewódzki ZMP i Związek Zawodowy Pracowników Sztuki i Kultury, którego przedstawiciele obecni na Festiwalu przyrzekli już im pomoc i umożliwienie studiów w szkole aktorskiej.

NOWA WIEŚ

Festiwal Wiejskich Zespołów Artystycznych ZMP zapowiedziany już dawno jako wyraz uczczenia zjednoczenia stronnictw ludowych był manifestacją artystyczną na wielką skalę — manifestacją pokaźnego dorobku artystyczego wsi polskiej, która już zrywa ze starymi, przeżytymi formami bytu i rwie się do pełnego życia. Zespoły najlepsze pojadą do Warszawy. Duża ilość zespołów została nagrodzona i wyróżniona w innej formie.

Młodzi artyści wiejscy powrócą do swoich wsi, aby pracować dalej, aby wyrównać tę przez ustrój kapitalistyczny nakreśloną różnicę poziomów wsi i miasta, aby budować kulturę w sprawiedliwym ustroju socjalistycznym.

Julian Kawalec

Konkurs publicystyczny
XXIII Międzynarod. Targów Poznańskich

Międzynarodowe Targi Poznańskie przy współudziale Klubu Dziennikarzy Gospodarczych Związku Zawodowego Dziennikarzy RP ogłaszają niniejszym

konkurs publicystyczny

na najlepszy artykuł, sprawozdanie, reportaż, wywiad, felieton, utwór literacki itp., na aktualny dowolny temat związany z tegorocznymi XXIII Międzynarodowymi Targami Poznańskimi, (które odbędą się w czasie od 29.IV. do 14.V. 1950 r.).

Prace konkursowe winny informować czytelników o **przygotowaniach** do XXIII MTP **lub** w sposób popularny i dydaktyczny opisywać pełne bogactwo polskiej produkcji prezentowane całemu światu na XXIII MTP w powiązaniu ze wspaniałymi osiągnięciami planu 3-letniego i perspektywami rozwojowymi Polski Ludowej w 6-letnim planie budowy podstaw socjalizmu, ze szczególnym uwzględnieniem polskiego eksportu.

Warunkiem udziału w tym konkursie jest zamieszczenie pracy pod dowolnym tytułem w prasie codziennej lub periodycznej (wychodzącej niemniej niż raz w miesiącu), od chwili ogłoszenia konkursu tj. od dnia 15 marca 1950 r. do końca maja br. Na równi z pracami drukowanymi traktowane są prelekcje wygłoszone w radio, poświęcone XXIII Międzynarodowym Targom Poznańskim.

Każdy uczestnik konkursu może nadesłać nieograniczoną ilość również podpisanych artykułów.

Międzynarodowe Targi Poznańskie wyznaczyły za najlepsze opracowania nadesłane na konkurs 6 nagród i 6 wyróżnień:

Pierwsza nagroda		100.000 zł
dwie II nagrody	po	50.000 zł
trzy III nagrody	po	30.000 zł
i 6 wyróżnień	po	10.000 zł

W wypadku, gdyby rozdzielenie nagród w powyższy sposób nie znalazło uzasadnienia w materiale konkursowym, Sąd Konkursowy MTP zastrzega sobie prawo dokonania podziału nagród w/g swego uznania.

Prace nagrodzone stają się własnością MTP i mogą być dowolnie wykorzystywane.

Autorzy artykułów konkursowych winni po 3 egzemplarze pisma, w którym dany artykuł zostanie ogłoszony, lub 3 potwierdzone przez Polskie Radio egzemplarze manuskryptu przesłać do Wydziału Propagandy MTP, Poznań, ul. Marszałka Rokossowskiego 14, w kopercie z napisem: „Konkurs Publicystyczny XXIII MTP".

Do koperty adresowanej należy włożyć drugą kopertę, zawierającą nazwisko autora, z podaniem zawodu i dokładnego adresu.

Termin nadsyłania listem poleconym prac konkursowych upływa z dniem 10 czerwca br.

Wyniki konkursu zostaną ogłoszone w prasie i radio w dniu 22-go lipca br.